

**Tom I, rozdział VI**

(...) Na drodze ściśniętej pomiędzy płotami dwóch zagród ukazała się para ludzi, z których jeden był małym, przygarbionym starcem, w płóciennej, aż do stóp zapiętej kapocie, a drugą — wysoka, pleczysta dziewczyna; w różowym kaftanie i z kasztanowatymi włosami. Śnieżnie biała kapota nie była bielszą od włosów staruszka, z rzadka rozsianych po żółtej jego czaszce, a twarz jego bezzębna, malutka od ściągających ją zmarszczek, okryta była w tej chwili wyrazem nieprzytomnego przerażenia, które objawiało się także w widocznym drzeniu rąk jego i całej szczupłej, zwiędłej postaci. Nie mógłby był pewnie ustać na płaczących się i podrygujących nogach, gdyby go wielka i silna dziewczyna wpół nie obejmowała, twarz swą ku twarzy jego pochylając i czasem łagodnie, a czasem z wybuchającą energią przemawiając:

— Niech dziadunio uspokoi się! Niech dziadunio do chaty powraca! Pacenko nie przyjechał! Pacenki nigdzie nie ma. On już po babulkę nie przyjedzie! on już umarł i babulka umarła! Proszę nie dziwaczyć i do chaty wracać!

Ale stary prostował się z całej siły i na perswazje dziewczyny nie zważając dygocącym głosem bełkotał i wykrzykiwał:

— Pójdę! Znajdę! zabiję zводnika! babulki nie dam. Gdzie on jest? Chodźmy, Jadwiśku, szukać! Prędzej chodźmy!

Dziewczyna podtrzymując wciąż jego chwiejącą się postać powtarzała:

— Pacenki nie ma! Pacenko umarł i nigdy już nie przyjedzie! To tylko te złe chłopcy Ładysiowe dziadunia tak straszą.

Ale stary rwał się naprzód i swoje powtarzał, a coraz więcej trząśł się i zwiędłą ręką w powietrzu wygrażać zaczynał. Za nim dwaj chłopcy, bosy, gołogłowi, z minami wiejskich urwisów, wyskakiwali śmiejąc się głośno i powtarzając:

— Pacenko przyjechał! Pacenko przyjechał i dziadulkowi babulkę odbierze!

Dziewczyna głowę swą zjeżoną gęstwiną kasztanowatych włosów podniosła, a z szafirowych jej oczu na pełne i rozognione policzki ciekły łzy...

— Co ja pocznę! — lamentowała — straszą i straszą, a ten idzie i idzie... Znowu narazi się na kiepkowanie ludzkie albo upadnie i stłucze się tak, jak wtedy...

Jan do Justyny szepnął:

— Stary zawsze tak wariuje, jak tylko kto mu powie, że Pacenko przyjechał... To ten Pacenko, co mu kiedyś żonkę zwiódł i w świat powiózł.

Ale Anzelm przyspieszył kroku i przed starcem stanąwszy powolnym swym głosem zapytał:

— A gdzie to pan Jakub idzie?

Małe oczy starca spod czerwonych i nabrzmiątych powiek wzniosły się ku jego twarzy.

— A... a... a... zdaje się... pan Szymon?

— Ja, Szymon, ale gdzie to pan Jakub idzie?

— Szymon — objaśnił Jan Justynę — to był mój dziadunio, stryja i ojca ociec. Jakub żyjących ludzi nie rozpoznaje, tylko ich wszystkich za pomarłych ojców i dziadów przyjmuje... tak samo zupełnie, jak żeby wśród nieboszczyków żył...

— Pacenko przyjechał! — prędko mrugając powiekami i głosem skarżącego się dziecka powtarzał starzec.

Anzelm wyprostował się i stanowczym głosem przemówił:

— Pacenko nie przyjechał i nigdy nie przyjedzie, bo już na tym świecie wcale go nie ma.

Bezbarwne i bezzębne usta starca otworzyły się szeroko, ale drzeć i naprzód wyrwać się przestał.

— Nie przyjechał? Pan Szymon mówi, że nie przyjechał!... To te chłopcy znów mnie zwiedli.

Przybiegli i krzyczą: "Przyjechał!" Ale czy pewno nie przyjechał?

— Nie przyjechał — powtórzył Anzelm.

— Czy słowo uczciwości? — z niepokojem jeszcze pytał.

Anzelm z uroczystością w głosie odpowiedział:

— Słowo uczciwości!

Starzec uspokoił się zupełnie, dziewczyna wielką, czerwoną rękę do Anzelma wyciągnęła.

— Dziękuję — rzekła — bardzo dziękuję. On zawsze panu Anzelmu wierzy; kilku takich ludzi jest w okolicy, którym zawsze uwierzy... Dziaduniu — znowu nad starcem schylając się dodała — proszę do chaty wracać... Mleczo dziś na wieczerzę będzie i pierożki z wiśniami zrobię...

Chciała zawrócić go ku bramie zagrody, ale on uśmiechał się i z widoczną fantazją wyprostować się usiłował.

— A... a... pan Szymon gdzie idzie?

— Do Jana i Cecylii — odpowiedział zapytany.

Jakby nagle blask słoneczny oświecił wyłysiałe czoło i wygładził zmarszczki starca. Uśmiech jego stał się szeroki, błogi, oczy usiłowały spojrzeć w górę, wskazujący palec, cienki i żółty, wznosił do wysokości swej głowy i drżącym trochę, ale podniesionym głosem mówić zaczął:

— Jan i Cecylia! Aha! Jan i Cecylia! Było to w starych czasach, w sto lat albo może jeszcze i mniej po tym, jak litewski naród przyjął chrześcijańską wiarę, kiedy w te strony przyszła para ludzi...

(...) Ale Anzelmowi pilno było do celu wycieczki. Z grzecznym ukłonem i czapkę wysoko nad głową podnosząc odszedł. Jadwiga posmutniała, dziadka wpół objęła i ze schylnymi nad nim szerokimi plecami, ze spadającą na nie roztarganą kosą, wprowadziła go do zagrody, której dom, stary, ale z gankiem i czterema oknami, zaledwie był widzialnym zza gęstwiny srebrnych topoli.

Anzelm powolnym ruchem zwrócił się do Jana, który z kilku stolarskimi narzędziami w rękę z dala i biernie na tę scenę patrzył.

— Poszedłbyś i dopomógł Jadwiśce dziadunia uspokoić...

Chłopak wydał nieco usta, spojrzął na dach najbliższego budynku, chrząknął i odpowiedział:

— Już uspokojony!

W tej chwili bardzo blisko zagrody starego Jakuba i jego wnuczki na sporym podwórku rozpoczynała gwarna rozprawa pomiędzy kilku ludźmi, którzy stali ściśnięci w ciasną gromadkę i spomiędzy których wybijał się donośnie zapalczywy głos Fabiana. Prędko znać przebiegł okolicę f naprędce kilku sąsiadów pochwyciwszy, ze wspólnego procesu i tylko co odbytej podróży do miasta sprawę im zdawał. Słysząc tam było wykrzyki jego :

— Bóg mnie ubij na duszy i ciele!

A drugi raz:

— Niech mnie mizerne ciało opuści, jeżeli mu nie pokażę, skąd kozy gonia!

Parę pługów i bron z nie wyprężonymi końmi stało u wrót podwórka. Właściciele ich słuchali wymownego sąsiada w zaciękawionych i niespokojnych postawach. Niektórzy odzywali się czasem z zapytaniem jakimś lub powątpiewaniem, ale jeden, wysoki i poważnie wyglądający w swej siwej, baraniej czapce, chudą twarz na dłoni opierał i spod czarnego wąsa ciągle, monotonicznie, potwierdzająco powtarzał:

— A jakże! a pewno! Żeby nie! A ma się rozumieć!

Inny, bardzo znać ubogi, bosi i w siermiedze, z szerokim, pięknym czołem i bujną, płową czupryną, ale z chłopską zarywającą mową, co moment jęklonie wymawiał:

— Oj, biedne my, panoczku, biedne bez tego wygonu! Oj, k a b to prawda była, panoczku, że my jego wygramy!

Trzeci, młody i przystojny, ze starannie uczesaną bródką i zawadiacko zakreconymi wąsami, pokrzykiwał:

— I koniec, i kwita! wygon powinien do powszechności naszej należeć i koniec, i kwita!

— Od Adama i Ewy do nas przynależał — wzbił się znowu nad wszystkie inne i popędliwie zagadał głos Fabiana.

Anzelm kroku przyspieszał. Z ruchów jego widać było, że trwożnie boczył się od wszelkich gwarów i swarów. Na hałasującą gromadkę prawie lekko rzucał spojrzenia. Prędko przesunął się pod samą ścianą jakiegoś świrna.

— Wygon nie był nigdy nasz i święcie do pana Korczyńskiego przynależy — zaczął z cicha — ale oni na każdą garść ziemi aż mrą z chciwości...

Czapkę na czole przesunął, głową potrząsał.

— Chociaż względem niektórych — dodał — to powiedzieć można, że na ziemię przymierają dlatego

właśnie, że jej tak jak prawie wcale nie mają... Między nami wszelako bywa: jednym gody, drugim głody...

Przechodzili teraz około malutkiej chatki, bez komina, bez ganku, bez płotu, z piędziesią ogrodem, na którym rosło mizerne warzywo, i z jednym tylko ogromnym dębem, który litościwie jakby zarzucał na nią szerokolistne gałęzie. Zaduch, brud, nędza tchnęły z otwartej sionki, w której ciemnym wnętrzu pokwikało prosię i blada kobieta siedząc na ziemi skrobała kartofle.

— To jest Ładysiowa, czyli Władysława chata, tego samego Ładysia, co tam stał z Fabianem i z chłopska mówił; z chłopką ożeniony, czworo dzieci ma i pewno nie więcej jak półtora morga gruntu. Wszelako — powtórzył — między nami bywa...

Istotnie, każdy mógł łatwo poznać, że rozmaicie pomiędzy nimi bywało. Takich chatek nędznych i nagich, jak Ładysiowa, znajdowało się niewiele, ale i pomiędzy zamożniejszymi znać było różnice dostatku i pomyślności. Znać było, że ziemia, ta jedyna podstawa, na której stały te zagrody, ulegała tu licznym i nierównym działom; że od dawna, może od wieków, pokolenia i rodziny kroili pomiędzy sobą ten chleb dla nich święty i najdroższy; że w tę przepaść zieleni i kwiatów spływała obfita rosa nie tylko potu, ale i łez. Tylko drzewa odwieczne szerokimi swymi gałęziami otulały zarówno dostatek i nędzę, a przyroda, miłosierna czy obojętna, zarzucała na wszystko welon rajskiej poezji.

(...) Znajdowali się w miejscu o kilka stóp zaledwie oddalonym od szczytu góry, na łagodnym skłonie, który tworzył małą, nieco spadzistą równinę. Trzeba było tylko trochę wzrok podnieść, aby zobaczyć ruchomą frędzlę zboża rosnącego nad samym brzegiem parowu, U końca cienistej i w nierówne wschody powyszczerbianej alei, którą wspięli się aż tutaj, leżał olbrzymi kamień, pełen wgłębień i wypukłości, za siedzenia służyć mogących, miejscami siwym i brunatnym mchem obrosły, a miejscami zwieńczony gibkimi gałęziami ożyn i rozchodników. Kilka cienkich sosen, z szerokimi u góry koronami, i rozłożysta grusza, z gęstwiną drobnych liści, wyrastały tam z ziemi okrytej rzadką trawą i osypanej igłami sosen. Pod sosnami i gruszą coś czerwieniało, błękitniało i bieląło; trzeba było wejść pomiędzy drzewa, aby rozpoznać, że to grobowiec.

Był to grobowiec bardzo prosty i ubogi, ale takiego kształtu i w taki sposób przyozdobiony, że aby móc podobny mu zobaczyć, trzeba by cofnąć się wstecz o kilka wieków. Składał się on z sześciokątnego, grubego u podstaw a zwężającego się ku szczytowi krzyża, na którego czerwonym tle bieląca postać Chrystusa, a którego boki okryte były różnobarwnymi godłami i figurami. Były tam białym pokostem powleczone i ściśle do krzyża przylegające trupie głowy i różne narzędzia Chrystusowej męki, płaskie popiersie Marii, z tkwiącymi w nim siedmiu pozłacanymi niegdyś i w kształt miecza wyrzeźbionymi strzałami, wsparte na rękach i w zamyśleniu na podstawach z drzewa lub gliny siedzące wypukłe figury świętych. Z chudości tych figur, ze szkieletowej długości ich członków, z okaleczeń, którymi czas zatarł rysy ich twarzy, po znać można było smak i robotę odległych czasów. Krzyż był tak spróchniały, że rychłym upadkiem groził, ale rozpięta na nim postać Chrystusa i boki jego okrywające figurę, przez czas okaleczone, ze spłowiałymi barwami i pozłotami, zachowywały niezmacone główne zarysy swe i cechy. Osłaniał je i od zupełnego zniszczenia chronił rozpięty u szczytu gontowy daszek. Na szerokiej podstawie krzyża bielął wyraźny jeszcze choć miejscami zacierający się już napis:

**JAN I CECYLIA, ROK 1549**

***memento mori***

Tylko nazwiska nie było tam żadnego. Z bezimiennego tego grobowca, osłoniętego przed światem ścianą nadniemeńskiego parowu, przeszło trzy wieki patrzyły na przepaść zieloną z warcząca w głębi krynicą, na olbrzymi i cały w mchach swych i wiankach leżący kamień, na wielki trójkąt Niemna, odsłonięty tu przez wyginające się w tył ściany przepaści i stojący w tej cichej pogodzie szybą błękitu i srebra. Za nieruchomą, zda się, rzeką wielką, samotna tarcza słoneczna wisiała nad samym już szczytem boru i tak go światłem swym przenikała, że żółte pnie sosen wyraźnie oddzielały się wzajem od siebie pod ciemnym pokryciem koron stojąc nieprzejrzanymi szeregami.

Teraz ciszę tu panującą przerywać począł monotony szmer hebla przesuwającego się po leżącej na ziemi i do połowy już obrobionej kłodzie drzewa. Anzelm wielką czapkę swą zdjął przed grobowcem, ale wnet znowu głowę nakrył i w milczeniu, z nasepionymi brwiami, pogrążył się w swej robocie. Powoli i jakby automatycznie, nieprzerwanie przecież, długi i blada jego ręka przesuwiała narzędzie po powierzchni drzewa. Krzyż próchniejący i który pierwsze jesienne wiatry obalić mogły, musiał być

zastąpionym przez inny. Kilkadziesiąt lat temu taką samą robotę spełnił zgrzybiały dziś i na wpół obłąkany Jakub. Teraz jemu przypadło w udziale stróżować nad tą pamiątką, drogą zapewne licznym pokoleniom, skoro z nich każde znalazło wśród siebie kogoś, kto jej z powierzchni ziemi zniknąć nie pozwolił. Nowy krzyż okryją stare godła, krótki napis wyraźniej zabieleje na czerwonej podstawie grobowca i wszystko tu znowu będzie tak samo, jak było przed trzema przeszło wiekami, jak było w tej porze dalekiej, gdy dwoje jakichś ludzi o nieznanym nazwiskach i dziejach złożono w jednej mogile.

Justyna wpatrywała się w stary grobowiec i w pamięci jej uparcie powtarzać się zaczęła strofa pieśni, którą niedawno, uniesiona wspomnieniem, wydeklowała przed nią Marta:

*A gdy kto przyjdzie albo przyjedzie,*

*Pomyśli sobie:*

*Złączona para, złączona para*

*Leży w tym grobie!*

Jan i Cecylia! Czy kochali się oni? Czy świat ich rozłączał, a połączyła mogiła? Jak żyli? i dlaczego, gdy umarli, tak na długo, na wieki, pozostali w sercach i pamięci ludzi?

O parę kroków od niej na obalonym pnios sosny siedział Jan i uśmiechał się wpółfiluternie, wpółtajemniczo.

— Stryj wie wszystko — zaczął — i bardzo lubi historię tę opowiadać. Trzeba go tylko pięknie poprosić... opowie.

Istotnie, po Anzelmie widać było, że walczyć zaczynał z ogarniającą go chęcią mówienia o czymś, co go do milczenia raczej skłaniało. Zatrzymał raz hebel pośrodku kłody, spojrzął na Justynę i z cicha rzekł:

— Na co? dla jakiej przyczyny?

Po chwili jednak znowu podniósł oczy i dłużej popatrzał na zbladłą nieco i smutną w tej chwili twarz młodej kobiety. Czarowne marzenia grobowiec ten budzić musiał w jej młodej głowie. Nie śmiała prosić o nic tego nieznanego człowieka, który ze swą pracowitą niezależnością i przeszłością pełną jakichś wielkich cierpień wydawał się jej dziwnie poważnym i surowym. Ale on prośbę wyczytał z jej oczu. Obejrzał się na słońce: poczerwieniało i da połowy ukryło się za borem.

— Mało już dziś będzie roboty mojej! A wszystkie pustoty od młodych pochodzą! Wymyślają, pytają się, czas bałamuca, a tu i nic tak osobliwego do gadania nie ma!

Nigdy jeszcze pod siwiejącym wężem nie uśmiechał się tak łagodnie; mówił też wesoło i prawie z odcieniem filuterności. Czapkę nad głową podniósł.

— Dlaczegoż nie? — dodał — jeżeli pani żąda posłyszeć tę historię, to o moją fatygę bynajmniej... Ja owszem... Nikt jej nie opisywał i w książkach nie drukował... Jeden człowiek opowiadał ją drugiemu i tak ona z daleka, jak czeka przez różne kraje, przez pradedziadów, dziadów i ojców naszych przepłynęła aż do nas. Mnie jej nauczył stary Jakub, gdy jeszcze boso latałem i cielęta pasłem, a jego uczył nie wiadomo kto, może dziadek, może pradedziadek, bo w ich rodzinie wszyscy długo żyją.

Stolarskie narzędzie położył na stronie i na jednym z wgłębień olbrzymiego kamienia siedząc uśmiechał się jeszcze.

— Gadaj gadkę! Bajki babom, a to, co ja powiem, nie bajka!

Wysoki zrąb kamienia siwym mchem w tym miejscu porosły służył za oparcie przygarbionym jego plecami, a na baranią czapkę i aż na ramiona opadały mu cienkie gałęzie ożynowego krzaka.

— Było to w starych czasach, w sto lat albo może jeszcze i mniej potem, jak litewski naród przyjął świętą Chrześcijańską wiarę, kiedy w te strony przyszła para ludzi. Niewiadomego oni byli nazwiska, niewiadomej kondycji, i to tylko można było poznać i z mówienia ich, i z ubioru, że przyszli z Polzeczy. Dla jakiej przyczyny porzucili oni swój kraj rodzony i aż tu przywędrowali, zarówno niewiadomym było. Kiedy spotykający ich podczas ludzie pytali ich o nazwisko, odpowiadali, że przy chrzcie świętym nadano im imiona: Jan i Cecylia. A kiedy ktokolwiek chciał wiedzieć, dokąd i dla jakiej przyczyny wędrują, mówili: "Szukamy puszczy!" Widać było ze wszystkiego, że bali się jakiegoś pościgu i żądali skryć się przed ludźmi, a żyć tylko pod boskim okiem. Całej pewności co do tego nie mają, ale takie o nich chodziły głosy, że kondycja ich była nierówna, bo on był ciemnej twarzy i bardzo w sobie silny, tak jak to rzadko pomiędzy panami, a najczęściej w pospółstwie bywa, a ona, czy to szła, czy to stała, czy mówiła, czy milczała, wydawała z siebie pańską wspaniałość i piękność. Ale jak tam było z ich początkiem wszystko jedno, dość że nietrudno znaleźli to, czego szukali. Cały tutejszy kraj zalegała podówczas

nieprzebyta puszcza, w której Pan Bóg nasiał co niemiara jezior błękitnych i łąk zielonych, a ludzie pobudowali troszkę osad, w których trudnili się sobie różną przemyślnością. W jednych miejscach, nad jeziorami lub nad rzeczułkami, siedzieli rybaki i bobrowniki; w inszych, tam gdzie stały lipowe lasy, pszczelniki miód i wosk pracowitym zwierzątkom odbierali; niektórym król nakazał, aby dla niego hodowali sokoły, i od tego poszło, że nazywali się sokolnikami, a inszych wolnością obdarował, aby tylko wszelkie posyłki jemu sprawiali, i dla tej przyczyny mieli oni nazwanie bojarów, czyli ludzi wolnych. O uprawianie ziemi było im bynajmniej; ogrody mieli, ale najwięcej rzepę w nich sadzili i len w wielkiej obfitości sieli, bo owiec nie mając i wełny nie znając odzieży płótnianej tylko używali. Zboże zaś rzadko gdzie zobaczyć można było i to przy miastach, a w głębokiej puszczy jeszcze gdzieniegdzie nikt i nie słyszał o nim. Ale za to byli tacy, co w dębowych lasach żyjąc trzody świń na żołędziach hodowali, i od tego dane im było brzydkie przezwisko świniarów, i tacy, co przy łąkach mieszkając bawoły obłaskawiali i dla tej przyczyny nazywali się bawolniki. O pieniądzach to jeszcze gdzieniegdzie i nic nie wiedzieli, a jak kto chciał co sobie potrzebnego kupić, dawał skóry zdarte z ubitych bobrów, niedźwiedzi, lisów, kun i inszych zwierząt albo troszkę miodu i wosku, albo przyswojonego bawoła, karmną świnię i co tam zresztą kto miał. Chaty ich nazywały się numy i były bardzo biedne i smrodliwe, bez pieców i komińców, bo tym leśnym ludziom nieznamą jeszcze była mularka. W Boga chrześcijańskiego niby to wszyscy już uwierzyli, a jednakowoż w głębokościach puszczy wiele jeszcze kłaniało się bałwanom i żyło z kilkoma żonami. Jan i Cecylia wzdłuż puszczy przeszedłszy poznali różne jeziora i łąki, zachodzili do rybaków, do bobrowników, do sokolników i do bojarów; zachodzili także do świniarów i do bawolników, ale nigdzie im nie podobało się tak, jak tutaj, nad brzegiem tego Niemna, i na tym właśnie miejscu, gdzie teraz ten pomnik stoi... Widać zobaczyli, że tu najmniej ludzie doścignąć ich mogą, a najlepiej im będzie pod jednym boskim okiem pozostawać. Może już tak im było przeznaczone, ażeby właśnie ten kawał ziemi zaludnić i nasz ubogi, ale długowieczny ród ufundować...

Powolny i przyciszony głos opowiadającego brzmiał na wysokim stoku góry, monotonością swą podobny do mrużącego u dołu strumienia. Czasem jednak zatrzymywał się i szukał w pamięci wyrazu lub nazwy, których w życiu codziennym nie używał prawie, ale jak słowa z pacierza, ze starej gadki wyrzucić nie mógł. Teraz z widocznym naprężeniem rysów wiązał przez chwilę w swej głowie wątek opowiadania bojąc się splątać go albo część jego uronić.

— Podtenczas — zaczął znowu — nie było na tym miejscu żadnego kawałka zoranej ziemi ani żadnego ludzkiego plemienia. Z tej strony rzeki i z tamtej strony rzeki, na prawo i na lewo, naprzód i w tył, rosła jedna tylko puszcza. Jan i Cecylia upatrzyli sobie właśnie te miejsce, gdzie teraz ten pomnik stoi, a gdzie podtenczas stał dąb taki stary, co może i tysiąc lat miał wieku, bo w jego wydrążeniu bawoła skryć byłoby można, i pod tym dębem zbudowali sobie najpierwej chatę, czyli taką numę bez pieca i komina, nędzną i smrodliwą. Od razu inszej zbudować nie mogli. Lepiej mówiąc, on zrąbał drzewa, opracował kłody i budował, a ona zbierała orzechy i dzikie jabłka, gotowała rybę, doila bawolicę, którą on rychło sobie obłaskawił, naprawiała odzież, a gdy wieczór przyszedł i on położył się pod dębem, z oszczepem i łukiem napiętym przy boku, by zawsze od dzikiego zwierza się obronić, siadała przy jego głowie śpiewając i grając na harfie. Z wysokiego domu pewno była, bo po anielsku grała i śpiewała i ręce z początku miała takie białe, by lilie. Ale krótko tego było, bo pracując ciężko, w niewygodach i niebezpieczeństwach straszliwych, prędko pociemniała na twarzy i rękach, wyrosła, zmężniała w sobie, że podobną stała się do płowej łani, której trudności i samotności leśne najmilsze. Jak pierwsza matka ludzkiego rodu miała ona podobno włosy złociste i takie długie, że pokryć nimi mogła siebie i swoją harfę: gdy też późnym wieczorem nad senliwym mężem śpiewała, on, choć senliwy, pieścił się z jej włosami, a potem o wschodzie słońca zdrowy i wesół do roboty wstawał, bo siły miał wzmocnione i serce pocieszone przez nią. Jednakowoż pomimo kochania i wszelakich jego rozkoszy nachodziły ich takie potrzeby i strachy, że inszym ludziom i pomyśleć o nich byłoby trudno. Wszystko tu było nie tak, jak teraz, ale okropniej i dziczej. Po puszczy chodziły stada żubrów, turów, niedźwiedziów, dzików i wilków, w gałęziach czaiły się drapieżne jastrzębie i krogulce, szerokimi skrzydłami łopotały krzywodziobe orły. Nocami wyły puszczyki i po drzewach wieszwały się rysie, w ciemności oczami jak latarniami świecące. Czasem kruki i kawki czarną chmurą zakrywały niebo, a dzikie konie napępniały zaciszności leśne grzmiotem swoich kopyt i przeraźliwym wiżdżeniem. Nad rzeką i na wszelakich mokrych miejscach leżało się wielkie mnóstwo obrzydłych żab, tarakanów, węzów i jaszczurek. I rzeka ta

nie była taka jak teraz. Głębinię i prędkość miała ogromniejszą. Wody były wtedy nadmiar silne i gniewliwe. Rozlewały się daleko i o ziemię były koryta w niej sobie prując, czego do dzisiejszego dnia te parowy pamiątką ostały. A po zimie wiosenną porą kryły się ogromne, by stada koni dęba stojących albo szklane góry przez słońce, co się w nich przeglądało, tęczęmi nalane. Jak oni to wszystko znieśli i przemogli, Bogu świętemu wiadomo, dość że znieśli i przemogli. Już to jest pewne, że żaden człowiek siły swojej nie zna, nim jej w potrzebie z siebie nie dobędzie. Prawda i to, że wiele rzeczy i stworzeń podówczas człowiekowi do pomocy stało. Narzędzia do wszelakich robót i myślistw przynieśli z sobą albo różnym sposobem zrobili sobie, dobre i mocne. Las dawał dzikie jabłka, orzechy, jagody i grzyby; do rzeki po napój przybiegały jelenie, daniela i sarny, które ze stad wielkich łatwo ubijać było; u góry żył lud wiewiórek, a u dołu w gęstwinach skrywała się mnogość zajęcy, łasic i kun; w wodach mieszkwały wydry i bobry domki sobie budowały. A trzeba było tylko wędę, sieć albo oszczep w rzekę zanurzyć, ażeby z niej wyłowić tyle ryb różnych, jakich już teraz wcale ona nie ma. Do tego i lubości bywało tu nadmiar. Słowicze śpiewy umilały noce, a jaskółcze i gołębie gminy same przez się szukały przytułku pod dachem numy. Podczas że sznura żurawi spadł jeden i łaskawie ostał już towarzyszem człowieka; podczas płochliwa sarna ugłaskać się pozwoliła, wiernie potem chodząc przy boku swej pani. Wszelako tam bywało: ciężko i mile, straszno i bezpiecznie. To tylko jest pewne, że nacierpieli się oni nadmiar, głodu, chłodu, strachu i zasytu najedli się do sytości; że wiele razy od upału i mozołu skóra z rąk i z nóg im zślizła, a od wiatrów i mrozu piekące bąble obsiadały ciała. Może dwadzieścia lat minęło im w tej męce, kroplami rozkoszy słodzonej, aż po puszczy puściły się pogłosy o tej parze ludzi, że przemyślnością swoją i krwawą pracą kawał duży lasu wyplenili, zboża nasieli i inszych różnych roślin nasadzili; że dom sobie zbudowali widny i czysty, z którego też dym przez komin wychodził; że nabyć u nich można niektórych takich rzeczy, których na szeroki okół nikt jeszcze nie miał. Poszli tedy do nich ludzie z różnych dalszych osad dowiedzieć się, jakże tam czyniły się takie cuda. A jak raz przyszli, to już na długo przy nich ostawali przypatrując się różnym niewiadomym do tego czasu dziełom i przemysłom. Niektórzy prosili się, aby ze wszystkim już ostać przy nich dla wspólności i pomocy, ale Jan i Cecylia wprędce rodzonych doczekali się pomocników. Sześciu synów i sześć córek urodziło się im i wyhodowało nad brzegiem tej wody, w cieniściach tej puszczy, pod okiem jednego Boga. Jeden z tych synów pojął sobie żonę u rybaków, drugi ją wybrał pomiędzy sokolnikami, trzeciemu przeznaczenie dało bojarkę, czwartemu bobrowniczkę, piątą pszczelarzkę, a szóstą handlując rybami, do których łapania wielką miał ochotę, przywiózł sobie dożgonną towarzyszkę aż z miasta Grodna, które podówczas, dla przyczyny mnóstwa rosnących tam ogrodów, po rusińsku Horodnem zwano. Rusinką też dziewczka owa była, ale podówczas dwie krwie na jednej ziemi mieszkające nierzadko mieszały się z sobą i nie wynikała z tego nikomu żadna obraza ani ujma. Skąd synowie pojmowali żony, stamtąd przybywali mężowie dla córek i poślubiwszy je nie odjeżdżali nigdzie, tylko tu sobie budowali chaty, a tnąc las coraz dalej uprawiali pola. Tak przeminęło lat osiemdziesiąt albo może i więcej od tego dnia, kiedy Jan i Cecylia pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postawili...

Umilkł Anzelm zmęczony niezwykłym wysiłkiem pamięci i myśli, kilka kropel potu zaświeciło na jego zapadłych i rozognionych policzkach, spłóviałe zwykle i blade oczy pobłyskiwały pod wielką czapką. Obejrzał

się w stronę słońca; znikło już ono za borem, lecz Niemen teraz stał żółtawą taflą i jasne smugi rozciągnięte u zachodu nieba jaskrawo oświecały sunący od wschodu zmrok.

— Dzień kończy się i moja gadka także do swego końca idzie — wymówił z uśmiechem. — Ale — dodał — w tym końcu także są rzeczy, które walor mają...

Głośniejszą trochę i żywiej niż wprzód mówił dalej:

— Osiemdziesiąt lat albo może i więcej przeminęło od tego dnia, kiedy Jan i Cecylia pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postawili. Aż jednego razu znaleźli się tacy ludzie, którzy samemu królowi donieśli, jakie to dziwy dzieją się gdzieś, w kraju litewskim, w najgęstszej puszczy nad samym brzegiem Niemna. Panował podówczas ostatni Jagiellon, dwoma imionami: Zygmunt i August nazywany. Zapalczywy był on myśliwiec i właśnie w tej porze, kiedy mu to doniesienie zrobionym było, bawił się polowaniem w swoich knyszyńskich lasach. Zmiarkował zaraz, że od Knyszyna do tego miejsca, o którym jemu rozpowiadali ludzie, droga była nie bardzo daleka. Łowczym na apel zatrąbić, a panom jechać za sobą rozkazał i puścił się w drogę. Jechał i jechał, jechał i jechał, a panowie za największym z

panów jechali, aż raptem zobaczyli jakoby koniec puszczy. Drzewa rzedniały i rozstępowały się, jakoby jadącym z drogi ustępując. Król pojrzał przez te szerokie otwory, krzyknął aż z zadziwienia i żartobliwie do panów swoich zawołał:

"Hej! hej! Waszmoście panowie, widzi mi się, że ktoś tu dla mnie nowe królestwo gotuje!"

Aż tu wszyscy wyjechawszy z lasu stanęli oczom własnym wiary nie dając. Tam, kędy dawniej panowała dzicz drzewiasta, bezludna i głucha, srogim zwierzom tylko przytułek dająca, leżała wielka równina, żółtością ścierniska po zżętym zbożu pozostałego okryta. Na ściernisku, by wysokie domy lub też by słupy z pozwężanymi wierzchołkami, stały sterty wszelkiego zboża; sto par wołów orało pole pod przyszły zasiewek, a wśród pola na gładkich łąkach hasały stada obłąskawionych koni, pasły się trzody krów ryżych i białych owiec. Na dwóch pagórkach dwa wietrzne młyny łopotały swymi wielkimi skrzydłami, lipowe gaje rozlegały się od bączenia nieprzeliczonych rojów pszczelnych, a w olszynach i brzoźniakach na wszystkich gałęziach wisały wielkie jak czapki gniazda gawronie. Sto domów, przedzielonych ogrodami, sznurem wyciągało się w podłuż rzeki, a z ich kominów, by z kościelnych kadzielnic, sto złotych dymów podnosiło się prosto do nieba. Na jabłoniach i śliwach liścia widać nie było za czerwonością i liliowością owocu; po zielonych trawach suszył się len i bielity się sztuki płócien, w chatach krośna stukwały i huczały terlice, przed domami na gałęziach i płotach wysychały ufarbowane przedziwa wełny, a na dachach po stronach do słońca wystawionych dojrzewały żółte, ogromne dynie. Ptastwo domowe, ziemne i wodne, grzebało się w piasku lub z hałasem leciało nad rzekę, od której powracający rybacy wychodzili zza góry niosąc po kilku siecie i niewody z rzucającymi się w nich rybami. Co do rzeki, tej w dole płynącej król z oddali zobaczyć nie mógł, ale rozpoznał, gdzie ona płynęła, po wysokiej, piaszczystej ścianie, nad którą stał bór, przez nikogo nie ruszany... ten sam!

Tu opowiadający wskazał palcem pas boru rozciągnięty nad złotawym trójkątem Niemna. Zająknął się i głos mu zadrżał.

— Te... te... ten sam! — powtórzył.

— Tymczasem — mówił dalej — król jechał naprzód, oglądając się wokół i wesolo dziwiąc się wszystkiemu, co tu obaczył. Młody był podonczas i tylko co na tron swój wstąpił. Koń był pod nim arabski, ognisty, z rzędem kapiącym od złota i drogich kamieni. Nad czołem królewskim świeciło na kołpaku brylantowe pióro, a drogie purpury i gronostaje spadały z królewskich ramion aż prawie po końskie pętlice. Wokół niego i za nim jechali hetmany, senatory i insze panowie, a każdy z koni, które pod sobą mieli, piękniejszy był od drugiego, a od kolorów ich szat i drogocенności siodeł aż ćmiło się w oczach. Za nimi jechali także sokolniki, na dłoniach trzymając zakapturzone sokoły, pieściwe pazie z różami na licach, hardonosa służba i bystrookie strzelce. A łowczowie złote trąby wciąż do ust swych przykładali i rozgłośnym granie rozgłaszali królewskie przybycie szerokiej równinie, długiemu Niemnu i aż zaniemeńskim głębokościom boru... Jako też ze stu domów i ze stu ogrodów, z pola, z łąk, z rzeki pozbiegali się wszyscy ludzie patrząc na nie widziane rzeczy i nie lękając się prawie, tylko podziwiając i oczekując: co z tego będzie? A król ich zapytuje:

"Czy żywie jeszcze rodziciel was wszystkich?"

"Żywie i w zdrowiu przebywa" — odpowiedział najstarszy syn Jana i Cecylii, który przed króla wystąpił, sam zmarszczkami cały poorany i siwy jak gołąb.

"A rodzicielka czy żywie?" — pyta znów król.

"Żywie i w zdrowiu przebywa".

Król podonczas rzekł:

"Rad bym na nich pojrzał!"

Wedle królewskiego żądania wnet stać się musiało. Z najpiękniejszego domu synowie i córki, wnuki i prawnuczki wyprowadzili parę rodziców. Więcej niżli stuletnie te starce. szli same przez się, niczyjej pomocy nie potrzebując, w śnieżystych płótnianych sukniach, by dwa białe gołębie, jedno przy drugim. On opierał się na toporze w długim kiju oprawionym; ona zsiwiałe włosy po pas rozpuściwszy głąskała biegnącą przy niej sarenkę. Kiedy już wobec króla stanęli, wszyscy zdumieli się, bo król kołpak swój zdjawszy z głowy powiał nim przed starcami tak nisko, że aż z brylantowego pióra sypnęły się gwiazdy.

"Kto ty, starcze? — zapytał Jana — odkąd przyszedłeś? jak zowiesz się i z jakiej kondycji pochodzisz?"

Starzec, jak przystało, pokłoniwszy się królowi śmieie odpowiedział:

"Przyszedłem tu od stron onych, którymi przepływa Wisła; nazwisko swoje oznajmię tylko jednemu Bogu, kiedy przed świętym sądem Jego stanę, a kondycja moja niską była, pokąd do puszczy tej nie zaszedłem, gdzie wszystkie stworzenia są zarówno dziećmi powszechnej matki ziemi. Z gminu pochodzę i pospolitakiem na ten świat przybyłem; ale oto ta pani i małżonka moja z wysokiego domu zstąpiła, aby moje wygnańcze życie podzielać".

Odpowiedź tę posłyszawszy król myślał długo, aż odwróciwszy się do panów, co wokół zgromadzeni byli, rzekł:

"Dufam, że waszmościowie uprzejmie pochwalicie, a przyszły sejm sprawiedliwie zatwierdzi dekret, który zaraz chcę tu ogłosić".

Panowie myśl królewską odgadując i potakując głowami razem krzyknęli:

"Inaczej nie może być, miłościwy panie! Sami tego żądamy i o to waszą królewską mość upraszamy".

Wtedy król odwrócił się do Jana:

"Ty, starcze, wedle własnego żądania bezimiennym ostaniesz i jakeś się urodził, tak w grobie legniesz pospolitakiem. Ale żeś był bohaterem mężnym, który tę oto ziemię dzikiej puszczy i srogim zwierzom odebrał, a zawojowawszy ją nie mieczem i krwią, ale pracą i potem, piersi jej dla mnogiego ludu otworzył, a przez to ojczyźnie bogactwa przymnażając: przeto dzieciom twoim, wnukom i prawnukom, aż do najdalszych pokoleń i samego wygaśnięcia rodu twego nadaję nazwisko od bohaterstwa twego wywiedzione".

Tu z prawicą wyciągniętą nad zdumiałym ludem król donośnym głosem wypowiedział:

"Oto ten ród, idący od człowieka z kondycji pospolitego urodzenia, idzie w porównanie ze szlachtą rodowitą krajową i wszystkich praw stanowi rycerskiemu odpowiednich odtąd aż do wygaśnięcia swego używać má i takowe wykonywać. Nobilituję was i nakazuję, abyście nosili nazwisko Bohatyrowiczów, a pieczętowali się klejnotem Pomian, który jest zubrą głową na żółtym polu osadzoną, jako pierwszy rodziciel wasz pokonał zebra i z odwiecznego jego siedliska uczynił to wdzięczne i obfитоścią ciekące pole..."

W tym miejscu umilkł opowiadający; wyprostowana teraz postać jego, z wielką czapką na tył głowy nieco zsuniętą, wypukle odrzynała się od wysokiego złomu kamienia. Rękę w górę podnosił i słychać było, jak szeroko i głośno oddychał. Po chwili wymówił jeszcze:

— Działo się to w roku, na tym pomniku wypisanym, tysiącnym pięćsetnym czterdziestym dziewiątym...

Na zachodzie, nad borem, gasły pozostawione przez słońce pasy świetliste; zmrok sunący od wschodu zwolna obejmował całe sklepienie, na którym tu i ówdzie zabłysły nagle gwiazdy. W zmroku naprzeciw umilkłego Anzelma widać było dwoje ludzi siedzących blisko siebie, pomiędzy cienkimi sosnami, na pniu obalonego drzewa. Kobieta opuściła ręce na kolana, mężczyzna twarz oparł na dłoni. Słuchali jeszcze, czekali. Po chwili też człowiek na kamieniu siedzący ozwał się znowu:

— Taka jest historia fundatorów naszych, taki nasz tutaj początek i oto dla jakiej przyczyny my na tej ziemi siedzimy.

Potem głosem człowieka, który w głębi pamięci swojej budzi drzemiące wspomnienia, mówił jeszcze:

— Wszelako późniejszym czasem w tym naszym rodzie przez Jana i Cecylię ufundowanym bywało. Włości nie mieliśmy nigdy i krwi ani potu z nikogo nie wyciskali. Bywało, że niektórzy z nas na wojny chodzili; bywało, że za panami z gardłami i szabelkami na sejmiki i sejmy ciągnęli. Jeden i drugi przebywał na pańskich dworach o urzędnikowskie lub oficjalistowskie posady zaskakując. Jeden i drugi fortuny przyrobiwszy gdzie daleko na osobnym folwarku siadał i pański już ród fundował. Ale najwięcej i tak jak prawie wszyscy, siedzieliśmy w swoich zaciszkach własnymi rękami od matki naszej powszechnej chleb dobywając. Szmaty ziemi, by Chrystusowe szaty, rozdzielały się wciąż pomiędzy nami, a podczas, zrządzeniem boskim albo niedobrym charakterem ludzkim, wcale przepadały. Jednakowoż po większej części trwaliśmy przy swoich gnieździech większych czy mniejszych i dotrwaliśmy do tej pory. Teraz szlachectwo przedziadów zdjęte z nas zostało; chłopami nazywamy się i jesteśmy... Ale o to bynajmniej. Wszyscy my kolki jednego płota i stworzenia czasowe. Bieda jedynie, że ubóstwo nasze rośnie i duszne zamroki ogarniają nas coraz większe...

Trząsł głową.

— Nikt prawie nie da wiary, że i tę historię fundatorów naszych w całej okolicy umie może trzech,



może czterech ludzi. Umie ją stary Jakub, ale on już jest tak jak prawie nie żyjący; umiem ja, umiał kiedyś Fabian, umie może ten młody Michał, co tam stał wystrojony, z wąsami do góry. Insze o takie rzeczy nie dbają i w biedzie, w zasepie pamięci o nich mieć nie mogą... Chłopami być czy panami, to za jedno; ale w bydło obrócić się, to smętnie i tęskno... (...)

## Tom II, rozdział IV

Czołno wysłane gałęzmi srebrnej topoli Jan silnie od brzegu odepchnął, a potem sam w nie wskoczył. Z wiosłem w ręku, z czołem na wpół tylko daszkiem czapki osłoniętym, w krótkiej, kolan nie sięgającej siermiędze, zielonymi taśmami przyozdobionej, z uśmiechem towarzyszkę swą zapytał:

— Czy wygodnie?

— Wybornie — odpowiedziała.

Zielone i wonne posłanie z liści było istotnie wygodnym; przykrywała je do połowy jej biała suknia. Kilka lat już minęło, odkąd ani razu nie pomyślała o przybraniu się w ten strój prosty i tani, ale świeży zalotnie odkrywający szyję jej i całe prawie ramiona. Od dawna też nie układała swych czarnych włosów w sposób tak dobrze uwydatniający piękne linie niskiego jej czoła i nie zwijała ich z tyłu czaszki w węzeł tak ciężki i malowniczo opuszczający się na kark, z lekka przez ogorzeliżną pozłożony. W kilka godzin po południu zstąpiła z wysokiej góry ku rzece i na chwilę stanęła w tym miejscu, gdzie w równej prawie linii z zagrodą Anzelma, pośrodku góry, na małej jej wypukłości, wyrastała gruba, rozłożysta topól. Pod topolą stanęła, pochyliła się i w dół spojrzała. W dole, na wąskim, piaszczystym wybrzeżu, tuż przy czołnie wysłanym zielenią, Jan spostrzegłszy ją wysoko wznosił czapkę nad jasnozłotymi włosami.

— Dzień dobry! — donośnie zawołał.

Woda pod dotknięciem wiosła zaszumiała, czołno zakołysało się i z przybrzeżnej mielizny na toń spłynęło.

— A stryj? — zapytała.

— Chory. Wczoraj po pożegnaniu się z państwem do swojej izby poszedł i drzwi na kruczek zaszczepił. Przez okno tylko widać, że na tapczanie leży oczy sobie ręką zasłoniwszy, senliwy taki czy w myślach utopiony? Bóg to wie!

W górę rzeki powoli płynęli. Nad rzeką wznosiła się z jednej strony naga, żółta ściana, z nieruchomym borem u szczytu; z drugiej wysoka, zielona góra, u której wierzchu białe i szare domostwa okolicy, z gankami swymi, świeącymi oknami i dymiącymi kominami, jak paciorki jedno po drugim wychylały się zza zieleni potężnych drzew i przezroczystych gajów. Od każdego z domostw biegły ku rzece wydeptane ścieżki i łamiąc się w różne kierunki rysunkiem białych linii okrywały zielony, w garby i płaszczyzny pogięty stok góry. Upalne słońce osypywało nieścigniony szlak wody ulewą iskiei, a tu i ówdzie łamiące się w falach promienie jego tworzyły ogniska olśniewających światel. Chwilami te ogniska wyrzucające z siebie niskie snopy promieni bladły lub całkiem gasły, a w błękitach wody, pod delikatnym rysunkiem drobnych fal, sunęły ciemne odbicia przepływających pod niebem chmur. Nie były to chmury natychmiastową burzą grożące, ale raczej białe obłoki mętną szarością wydęte, wydłużające się wciąż i przybierające, z brzegami przelewającymi się w coraz nowe linie i kształty. W cichym i parnym powietrzu powoli i nisko sunąc co chwilę przysłaniały one, to odkrywały rozżarzoną tarczę słońca, sprawiając tym w powietrzu zmienną grę promiennych jasności i nagłych przyciemnień. Tam gdzie rzeka daleko przed pomykającym czołnem za bór skręcała zgromadzały się one, łączyły i skłon nieba zasłaniały ścianą wełnistych, ciemnych, srebrem obrębionych kłębow.

— Może dziś deszcz albo i burza będzie — zauważył Jan, który na wąskiej ławeczce w sam prawie dziób czołna wprawionej siedział, w wodę patrzył i z pochyloną nieco głową powoli wiosłem fale jej rozganiał.

Na wysokiej, zielonej górze zniknęły ostatnie domy okolicy, a tuż za nimi góra rozszczepiła się na rozpadlinę i długą, otwierającą się od strony rzeki olbrzymim trójkątem ścian w tył odgiętych i ku szczytom rozwierających się coraz szerzej. Jan ruchem głowy wskazał Justynie parów Jana i Cecylii i napelniające go nieprzebite, różnymi odcieniami zieloności mieniające się, jaskrawymi barwami kwiatów i jagód nakrapiane gęstwie roślinne. Podniosła się trochę na swym siedzeniu w tym chaosie linii i barw pragnąc odkryć stary grobowiec.

— Schowany on jest przed światem i z nijakiej strony zobaczyć go nie można — rzekł Jan. — Chyba jesienią kiedy drzewa i krzaki wszystkie liście swe utracą, zamajaczy on przed oczami tego, kto tędy płynie. Czy pani nie uprzykrzyło się płynąć?

Opowiedział, że do Mogiły z Korczyna i Bohatyrowicz dwie drogi prowadzą. Można przeprowić się na przeciwną stronę rzeki naprzeciw dworu lub okolicy i potem dobrą godzinę iść lasami; albo płynąć

trzeba dłużej, z pół godziny, i wylądować na piaskach, od których do tego miejsca i wiorsty nie będzie. Powiózł ją tą drugą drogą, bo chciał jej pokazać piaski.

— Później powiem — dodał — dla jakiej przyczyny zechciało mi się, aby pani na tych piaskach była. Dla mojej pamięci to takie miejsce... (..)

Brzegi rzeki stawały się coraz uboższe i dziksze. Z jednej strony, tam gdzie przed kwadransiem sielsko i malowniczo uśmiechały się szare i białe domki o k o l i c y, a potem wielki parów wspaniale rozchyłał wargi swe zielonością po brzegi nalane, nad nagą, gładką, czerwonawą ścianą widać było stojące rzadkie zboża, tu i ówdzie ocienione krzywą wierzbą albo starą gruszą. Z drugiej strony brzeg zniżał się, do równego z rzeką poziomu spływał, a gęsty bór nie znikał wprawdzie, lecz cofał się, usuwany jakby przez rozległe, białe, małymi wzgórzami zbałwanione piaski. Czółno wiozące dwoje młodych ludzi skierowało się ku tym piaskom i węzowymi skrętami prześliznąwszy się pośród wielkich kamieni nad płytką wodą z piaszczystego dna wystających u lądu stanęło.

— Proszę stanąć i naokoło spojrzeć — głosem cichszym niż zwykle rzekł Jan.

Justyna usłuchała i zatrzymawszy się wzrokiem dokoła powiodła.

Znajdowali się wśród piaszczystego rozłogu, którego część nie bez trudności już przebyli. Podobnym to było do jeziora, z jednej strony ujętego w ciemne półkole boru, a z drugiej rozdzielonego z rzeką zasłaniającym ją pasmem piaszczystych pagórków. Jak powierzchnia wody, tak piaski te pokryte były nieskończonymi łańcuchami zmarszczek, a choć z pozoru powietrze wydawało się nieruchomym, unosiły się z nich tu i ówdzie niskie tumany i poziomym lotem przebywając małe przestrzenie opadały na ziemię pyłem cichym i tak miałkim, że prawie ziarnko od ziarnka rozróżnić w nim było można. Bór niechętnie jakby usuwając się w głąb widnokregu zostawiał za sobą szerokie pasy karłowatych, kolczastych, białością piasku przeświecających zarośli i za nimi dopiero powoli wzbijał się znowu w wysoką, ciemną ścianę. U stóp zarośli różowate wrzosy rozciągały daleko swe suche, smętne girlandy, a potem już od krańca do krańca tej pustki nie było nic prócz pomarszczonych, głębokich piasków i małych tumanów, które tu i ówdzie wzbijały się na płaszczyźnie lub na kształt znikomych dymów wytryskiwały nikły nad okrągłymi, nagimi czołami pagórków. Ani drzewa, ani kwiatu, ani najdrobniejszego ziółka. Żadnego też dźwięku oprócz krakania wrony, która ciężko i wysoko wyleciała znad rzeki i w borze przepadła; żadnej barwy oprócz białości piasku i szarawej różowości wrzosów, żadnego ruchu oprócz sunących po niebie ciężkich, długich, mętną szarością nabrzmiałych obłoków; żadnej woni oprócz suchego i krztuszącego pyłu, który wydawał się oddechem tego miejsca.

Stopy Justyny pograżały się całkiem w miałkiej, suchej, gorącej topieli, a wzrok jej ze zdziwieniem przesunął się po tej pustyni, której nie widziała nigdy, na którą też prawie nigdy nie patrzyło żadne ludzkie oko, bo żadna praca, żaden plon i żadna dokądkolwiek prowadząca droga nie przywodziła tu ludzkich kroków i zamiarów. Ale gdy spojrzała na towarzysza swego, większe jeszcze uczuła zdziwienie. Jan zdjął czapkę i zamyślonymi oczami wodził po nagich szczytach pagórków. Miał postawę człowieka, który stanął na progu kościoła i wpatruje się w ołtarz. Można by myśleć, że nigdzie tyle, ile w tym miejscu, nie czuł się człowiekiem i nigdzie tyle nie doznawał ludzkich, wyższych, od codziennego życia dalekich uczuć i myśli.

— Dawno tu nie byłem — zaczął też takim głosem, jakim człowiek w progu świątyni przemawia. — Może pięć lat nie byłem... Stryj woli na Mogiłę tamtą drogą chodzić, bo raz, jak przez te piaski szedł, twarzą wprost na ziemię upadł i z godzinę od płaczu ryczał...

— Czegóż tak płakał? — ze wzruszeniem, z którego przyczyn jeszcze sobie jasno sprawy nie zdawała, spytała Justyna.

— Bo długo chorym będąc z chaty prawie nie wychodził i pierwszy raz wtedy po swoim wskrzeszeniu te miejsce zobaczył, przez które kiedyś z wielką kompanią jechał...

Zrozumiała i więcej nie zapytała o nic. Jan ciągle na wzgórze patrząc sam mówił dalej:

— Dla mojej pamięci te miejsce jest bardzo ważne, bo ja tu, z tego pagórka, ostatni raz ojca swego widziałem...

Wskazując palec ku jednemu z pagórków wyciągnął.

— Widzi pani, tam, ten trzeci od boru pagórek... Dniem i nocą, latem i zimą pusty on stoi i żadne nawet ziółko ucześcić się go nie chce. A jednakowoż był kiedyś taki wieczór, że od góry do dołu zdeptały go ludzkie i końskie nogi i leż niemało na niego spadło...

— Pan to wszystko dobrze pamięta?

— A jakże! Pani i wiary dać nie może, jak pamiętam. Siedem lat podtenczas skończyłem, ósmy mi szedł, to może i nie dziwno, że pamiętam.

Uszli już byli kilkadziesiąt kroków naprzód; Jan znowu twarzą zwrócił się ku pagórkowi i stanął.

— Stąd Niemna nie widać — zaczął — ale my wtedy z tego pagórka dwie godziny albo może i trzy patrzali na rzekę, którą przyływały czółna i łodzie z jednej strony i z drugiej ludzi przywożąc. Od brzegu do brzegu zaś szedł i powracał promek na łodziach, nieduży... Wszyscy przez te piaski przeszli, przejechali, i już ich widać nie było. Wieczór zrobił się, majowy. Jak dziś pamiętam, że księżyc dobrze już posunął się do środka nieba i tkwił nad samymi piaskami. Cichość panowała na rzece, na brzegach, tylko w borze słowik śpiewał... Wtenczas ojciec pocałował matkę, cościś jej poszeptał, a potem mnie z ziemi na rękach swoich podniósł i całować zaczął. Wprzódy nigdy mnie tak nie całował, bo człowiekiem był więcej pochmurnym niżeli wesołym i częściej w milczącym zamyśleniu pogrążał się, niż okazywał to, co miał w sobie. Całkiem inaczej jak stryj Anzelm, który wesoły był, gadatliwy i cały na wierzchu. Podobno też za tę pochmurność i za te utapianie się w myślach tak nadmiar ojca mego polubił pan Andrzej. Ale wtenczas ociec dziecko swe żegnający w zamkniętości swej nie wytrzymał, cisnął mnie do siebie tak mocno, że aż bolało, i mało nie tysiąc razy mnie pocałował. W tej samej minucie pan Andrzej żegnał się ze swoją żoną i ze swoim synkiem; stała też tam panna Marta, która w tę porę młoda jeszcze była, i kiedy troszkę wprzódy stryja żegnała, święcony medalik jakiś na szyi mu powiesiła; stało i więcej ludzi różnych ze dworu i z okolicy, może wszystkich osób ze dwadzieścia. Nikt tam bardzo głośno nie mówił, ale wszyscy rozmawiali, i zrobił się z tego taki gwar, jak kiedy wiele razem rojów pszczół brzęczy. Do tego dwa konie osiodłane i pod pagórkiem tym stojące z niecierpliwości pyrchały, kopytami piasek grzebiąc. Kiedy mnie ociec całować przestał i z rąk na ziemię wypuścił, tego momentu już nie pamiętam, to tylko pamiętam, że zobaczyłem go jeszcze, jak obok pana Andrzeja przez te piaski jechał. Widać bardzo płakałem i za łzami wprzódy zobaczyć go nie mogłem, bo wtenczas dopiero zobaczyłem, kiedy już znajdował się na połowie drogi pomiędzy pagórkami a borem. Księżyc tkwił wprost nad piaskami, a w jego światłości ociec i pan Andrzej jeden przy drugim na koniach równej piękności jechali. Jechali oni ani bardzo prędko, ani bardzo powoli, czapki ich karmazynowym kolorem świeciły, a konie pod nimi podnosiły się równo, równo, jak przy muzyce... Nie obejrzawszy się ani razu, piaski na ukos tędy przejechali i tam... widzi pani te miejsce, gdzie jodły mieszają się z sosnami, tam, w tym miejscu z oczu naszych znikli... Słowik w borze śpiewał...

Wyciągniętym ramieniem wskazywał punkt boru, ku któremu właśnie zbliżali się powoli. W miarę zbliżania się do lasu piasek twardniał pod ich stopami; szli teraz po szeroko rozpościerających się różowatych girlandach wrzosów. Milczeli chwilę.

— I więcej nigdy już pan ojca swego nie widział?

— Raz już tylko po tym ostatnim rozstaniu o nim usłyszałem. Pewno dobrze po świętym Janie, a może i około świętej Anny, bo zboże już na polu prawie dojrzewało i gdzieniegdzie żąć je zaczęli, stali my w okolicy, nad samym brzegiem, w tym miejscu, gdzie, pani wie, na naszym podwórku lipy rzędem rosną. Nie dużo nas było, może osób kilka, bo inni ludzie na swoich podwórkach zgromadzali się i, tak samo jak my, kupkami stojąc, wszyscy ku stronie piasków obróceni, stuków i grzmotów słuchali, co tam toczyły się i turkotały, to dłużej, to krócej, to prędko, to pomaleńku, jakby z całego nieba pioruny zebrały się i w te miejsce biły. Słowik już wtenczas nie śpiewał, tylko gdzieniegdzie podejmowały się znad boru chmury wszelakiego ptastwa i jak zwariowane, z przeraźliwymi krzykami latały nad borem, nad rzeką, na drugi brzeg uciekając albo też lecąc jak najdalej, zdaje się na oslep... Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed samym wieczorem grzmoty te zaczęły pomału ustawać, aż i zupełnie ustały, a za to po całym borze poniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgielki. Ja wtedy tak przeląknęłam się, że całego mnie trząść zaczęło, i mocno uczepliłam się matki, która fartuch przy oczach trzymała i przed sąsiadkami, co do niej z szeptami przybiegły, po cichu lamentowała. Potem jednakowoż i krzyki zamilkły, noc nastąpiła, widać, że niebo chmury zaległy, bo zrobiło się bardzo ciemno. Ale pomimo nocy ludzie wciąż kupkami na swoich podwórkach stali albo siedzieli ku piaskom patrząc, a na miejsce tych ptasich wrzasków, które rozlegały się we dnie, po całej okolicy w ciemności nocnej rozeszły się szepty ludzkie szumienie wiatru naśladowujące. W tej cichości i w tym szumieniu posłyszeli my jednakże na przeciwnym brzegu rzeki wielkie pluśnięcie wody, a potem już ciche, ale ciągle jednostajne, jednostajne pluskanie.

Ktoś do wody skoczył, płynął, rzekę przepłynął, i spod lip naszych widać było cień jakiś wstępujący pod górę to prędko, to pomału, aż ostatni raz skoczył i wprost przed nami stanął. Matka przeżegnała się, krzyknęła: "Anzelm!" — i zakręciła się na miejscu jak nieprzytomna. Ale stary Jakub, który jeszcze wtenczas niezupełnie był wariatem, wziął stryja za rękę, do chaty go zawiódł i światło rozniecił. Kupka też ludzi wcisnęła się do chaty. Mnie znowu trząść zaczęło, kiedy na stryja spojrzałem. Jezu drogi! jak on wyglądał! Twarz miał czarną jak u Murzyna i tylko oczami wilczymi błyszczącą, odzież calutką w dziurach, rękę jedną opuszczoną i bezwładną, a z włosów i z odzienia woda mu potokami ciekła. Dyszał tak, że słowa wymówić nie mógł, i tylko kiedy niekiedy tak stękał, jakby w nim co pękało. Ludzie koło niego szeptali, pytali, nawet go za ręce i odzież targali, on nic. Raptem na mnie spojrzał i łyż potokiem ściekły mu po uczernionej twarzy. Za kołnierz od koszuli mnie schwycił i tak nagle do siebie przysunął, że aż krzyknąłem ze strachu. A potem zaczął do mnie mówić. Z początku niewyraźnie mówił, że i zrozumieć nie mogłem, ale potem, nie wiem czemu, zrozumiałem, że on mnie każe do dworu korczyńskiego lecieć, do pana Benedykta, który teraz w domu siedzi, i powiedzieć jemu... "O, Jezu drogi... powiedz ty jemu, że pan Andrzej tu..." i na czoło sobie pokazał... "a twój ociec tu..." i na piersi sobie pokazał. A potem jeszcze dołożył: "Obydwoh nie ma!" i spytał się mnie: "Zrozumiałeś?..." Zrozumiałem... Zrozumiałem tak dobrze, że do dziś dnia...

Do dziś to wspomnienie rwało mu głos w piersi, która kiedy indziej tak rozgłośnie pieśni na pola rzucała. Oboje nie spostrzegli, że już znajdują się w lesie; nie widzieli dokoła siebie drzew, świateł i cieni; nie słyszeli szczebiotu ptastwa, który nad nimi rozlegał się coraz głośniejsze. On szedł z nisko pochyloną głową, w ziemię patrzył i o towarzysze swej całkiem w tej chwili zapominać się zdawał; ona, przeciwnie, ku niemu zwrócona, ani na chwilę nie spuszczała z twarzy jego swych szarych źrenic, które spod czarnych rzęs i brwi gorzały ciekawie i chmurnie.

— Żałość mnie wtenczas ogarnęła taka, że o strachu zapomniałem. Do dworu drogę znałem dobrze, ociec mnie tam z sobą brał i panna Marta często po mnie, przysyłała. Niedługa droga. Do dworu tedy leciałem w ciemności i od płaczu zataczałem się, ale leciałem, aż do sieni wpadłem, gdzie lokaj stał i z początku puszczać mnie dalej nie chciał. Ale dziecko całe w łzach obaczywszy puścił. Ja przez salę stołową i drugi jakiś pokój do gabinetu pana Benedykta wleciałem i wprost przed jego nogami na ziemię padłszy głośno zawylem. On stał pomiędzy kominem, na którym ogień palił się, i biurkiem, którego szuflady wszystkie powysuwane były. Więcej ja cień jego na ścianie niż jego samego zobaczyłem i zdało się mi, że na tym cieniu wszystkie włosy jakby rozrzucony snop zboża zjeżone stały. Nachylił się, poznał mnie i na nogi postawił. "A co?" — zapytał. Ja jemu tchu od płaczu nie mając tyle tylko: "Stryj powiedzieć kazał, że pan Andrzej tu..." i na czoło sobie pokazałem "a mój ociec tu..." i na piersi sobie pokazałem. I dołożyłem jeszcze: "Obydwoh nie ma!" Tylko co zaś te dwa słowa wymówiłem, jak rozejdzie się po pokoju jakiś krzyk okropny, ni to ludzki, ni to zwierzęcy, i wtenczas dopiero obaczyłem, że w kąteczku pokoju pani Andrzejowa jak martwa kłoda zwała się z kanapy czy z krzesła na ziemię. Zwała się i leżała z twarzą do sufitu obróconą i taką białą jak kreda, z oczami zamkniętymi. Pan Benedykt tylko obydwoma rękami za głowę złapał się, tasiemkę od dzwonka tak mocno targnął, że mu w rękę została, i jak tylko do pokoju panna Marta wbiegła, panią Andrzejową jej pokazał, a sam pędem wielkim z domu wypadł i prosto do okolicy biegł. Ja też za nim biegłem, ale dopędzić go nie mogłem, bo już i zmęczony byłem... więc kiedy do chaty naszej wszedłem, pan Benedykt i stryj z sobą rozmawiali, a tego, co mówili, nie słyszałem. Jedno tylko to posłyszałem, że pan Benedykt zapytał się: "A Dominik?" Stryj zaś znak taki około rąk i nóg zrobił, jakby je czym wiązał, i stał ciągle plecami do ściany przyparty, z jedną ręką bezwładną, a drugą sobie po uczernionej twarzy jakby w nieprzytomności wodząc. Nogi pod nim trzęsły się i z włosów jeszcze po kropelce, po kropelce woda ściekała. Pan Benedykt nie zapłakał i nic nie powiedział, tylko do okna poszedł i w nocne ciemności patrząc kilka razy takim głosem, jak człowiek w momencie konania będący, imienia boskiego wezwał...

— Dziwne, straszne historie! — szepnęła Justyna.

Jan, jakby obecność jej w tej chwili sobie przypominając nagle zwrócił się ku niej i długo patrzył na kilka łez, które jedna za drugą, cicho i powoli, spod rzęs spuszczonej staczały się na jej policzki. Przed siebie potem spojrzał i żywym ruchem ramienia jej dotknął:

— Niech pani stanie i popatrzy!

Stała i w tej chwili dopiero spostrzegła, że znajduje się w głębi boru. W tej chwili też po raz

pierwszy do słuchu jej dostał się ogromny gwar ptastwa, który od początku lasu rósł, wzbierał, a tu wybuchał niepodobnym do rozplątania chaosem dźwięków. Zarazem ogarnęły ją mocne wonie smoły, jałowcu, cząbrów, zmieszane z tym wilgotnym i cmentarzem przywodzącym na pamięć zapachem, który wydaje z siebie wiecznym cieniem osłonięta, białą pleśnią kwitnąca ziemia.

— Niech pani przed siebie patrzy — powtórzył Jan.

To, co jej ukazywał, było rozległą polaną czy łąką leśną, objętą regularnym i ściśle zamkniętym kołem falistych wzgórzystości, po których pięły się i spływały coraz gęściej tłoczące się i płaczące z sobą stare sosny, jodły i młode zarośla. Miejscami szerokie, aż do ziemi opuszczające się gałęzie jodeł i bujające dokoła nich, mnóstwem sęków zjeżone i girlandami szorstkich widłaków oplątane, młode zarośla jodłowe tworzyły długie ściany i grube kolumny zieloności tak ciemnej, że prawie czarnej. Gdzie indziej sosny wysmukłe, proste, gładkie, u szczytów swych dopiero korony gałęzi rozpościerające, podnosiły się znad kobierca w przedziwne wachlarze paproci i przedziwniejsze puchy mchów różnobarwnych wyhaftowanego. Te paprociowe liście, strzępiaste, wzajem na sobie spoczywające, lekkie, choć ogromne, wszystkimi odcieniami zieloności umalowane, i te wyglądające spod nich lub całkiem je zastępujące mchy seledynowe, brunatne, siwe, z niepojętą delikatnością w miriady drobnouchnych gałązek wyrzeźbione, słały się daleko, jakby w nieskończoność, znikając pod gęstwinami i odrodzonym morzem wypływając znowu na przezroczyście przestrzenie boru. Na przezroczystych przestrzeniach, w rozległym półcieniu, po gładkich pniach sosen, po mchach i paprociach, w górze, u dołu, wszędzie, biegały, goniły się, ślizgały, tu pożarem wybuchały, tam rozbijały się w roje iskier, smugi, potoki, strzały światłości słonecznych. Wydawało się to świetną, zawrotną, w tajemnicy i milczeniu odbywającą się grą jasnych i mrocznych geniuszów lasu.

Ale na otoczonej lasem polanie gier tych nie było. W górze zaokrąglął się nad nią błękit nieba nieustannie przysłaniany sunącymi pod nim chmurami; w dole okrywała ją przyćmiona płachta słonecznego blasku, przerywana długimi, nieruchomymi słupami cieniów od jodłowych gęstwin padających. Wysłaniem jej była trawa niska i nierówna, którą z rzadka usiewały liliowe cząbry i brunelki, białe krwawniki, drobne pączki dzięcieliny i gwiazdki nieśmiertelników. Brzegiem rosły i ku środkowi wybiegały krzaki jałowców twardymi jagodami niby czarną, połyskliwą rosą osypane albo czerwona rdzawością tu i ówdzie od ciemnej zieleni na kształt krwistych plam odbijające. Z suchych, kolczastych ich splotów wychylały się żółte kwiaty wilczej paszczy i wypełzały daleko po ziemi ciągnące się girlandy mnóstwa odmian powoi, bluszczów i widłaków. Tu i ówdzie pod krzakami i wśród niskiej trawy czerwieniły się i żółciły grzyby najszczególniejszych kształtów lub woń stęchlizny z siebie wydając bielą pleśń ziemi. W głębi, pod ciemną kolumną kilku splecionych z sobą jodeł, słupem padającego od nich cienia okryty, wznosił się niewysoki pagórek, kształt podługowaty i łagodnie stoki mający, niby wał, niby kurhan, widocznie kiedyś rękami ludzkimi usypany i jak cała ta polana niska, w nierówne kępy pogarbioną trawą obrosły.

Jan w milczeniu pagórek ten Justynie ukazał, ona też milcząc skinęła głową; wiedziała, że to zbiorowa mogiła.

— Ilu? — z cicha zapytała.

— Czterdziestu — odpowiedział, głowę znowu odkrył i kroku przyśpieszył.

Suche, czarne szyszki pod stopami ich zatrzeszczały, kiciasty ogon uciekającej wiewiórki zaszeleścił w jodłach, kos gwizdał donośnie, trochę dalej szczygły zanosiły się od śpiewu, jeszcze dalej gruchały gołębie i tętniały we wszystkich stronach rytmiczne stukania żółn i dzięciołów, skądś z wielkim szelestem skrzydeł i przeraźliwym ćwierkaniem wzniosła się chmura czyżów i trzynadli, krasnoskrzydła sójka mignęła błękitem i na gałęzi sosny usiadła; w powietrzu jak w kadzielnicy olbrzymiej głuźzone zapachem pleśni kipiały wonie jałowca, smoły i cząbrów, kiedy Jan i Justyna stanęły u Mogiły, na której gdzieniegdzie bujały proste i wysokie łodygi kampanuli, mające, zda się, tuż, tuż, przy najlżejszym powiewie, w delikatne liliowe dzwonki uderzyć. Jan z głową odkrytą u stóp Mogiły stojąc zwolna wymówił:

Zupełnie jak w pieśni:

Chyba czarny kruk zakracze,

Czarna chmura dżdżem zapłacze...

Kwadrans upływały, godzina prawie minęła, a Justyna siedziała jeszcze na stoku Mogiły utopiona w

myślach i uczuciach prawie zupełnie dla niej nowych.

Dziecko czasu ciągnącego się pasmem ciężkim i szarym, najdalszym wspomnieniem nie sięgała ona żadnej z tych ognistych i strzelistych chwil, które serca, nawet maluczkich, obejmują pożarem i rzucają w górę. Kolebka jej stała już w katakumbie napełnionej zmrokiem i milczeniem, pośród których szemrały tylko nisko, nisko przy ziemi krzątające się interesy powszednie i jednostkowe lub rozlegały się wzdychania i jęki podobne tym które wydają wiatry w ciasnych przestrzeniach zamknięte. Rosła w atmosferze trosk i klęsk domowymi ścianami ogrodzonych; dojrzewała w kole rozkoszy i strapiień we własnym jej sercu tylko źródło mających. Wszystko, co otaczało ją, pogrążonym było w staraniach, w pracach, w rzadkich nadziejach i uciechach, w częstych obawach i żalach, zawsze i tylko osobistych, ciasnych i powszednich. Dokoła niej myśli ludzkie, jak ptaki z połamanymi skrzydłami, trzepotały słabo, ciężko, zakreślając nieustannie te same malutkie kółka; uczucia ludzkie, jak motyle, po świetnym momencie miłości i wzlotów, skurczone, zgniecione, podarte padały na ziemię. Ani razu w swym życiu nie widziała tych błyskawic, które z nieba ideałów zlatują w dusze mieszkańców ziemi; ani razu przed jej oczami nie wypadł z ziemi — nieba ideałów sięgający grot bohaterstwa. Nie widziała nigdy bohaterstwa, poświęcenia, dobrowolnie podejmowanych śmierci, walk, których by pole nie mierzyło się rozległością majątku czy szczęścia jednostki, a celem były ludzkość, naród, idea. Odwiecznym porządkiem padały na świat błyskawice owe, strzelały z ziemi owe groty, staczały się owe walki, ale daleko, daleko od miejsca, w którym urodziła się, wzrosła i dojrzała Justyna. Ani sztuka muzyczna, w której od dzieciństwa ćwiczył ją ojciec, ani lekcje udzielane jej przez nauczycielki, ani tyczące się obejścia i układu wskazówki i przestrogi, których często udzielała jej pani Emilia, ani czytowane wspólnie z kochanym człowiekiem poezje Musseta i Feuilletowskie powieści — nie podjęły przed nią zasłony, która tu i w tym momencie opadła na rzeczy wielkie, ważne i wysokie. Niestety rzadko bywa mistrzem dobrym, a pogębienie, jak olbrzymia tłocznia, szczyty nawet kruszy i włacza w padole. W życiu jednostek i narodów bywają momenty taką miarą nieszczęść napełnione, że nic już w nich więcej zmieścić się nie może. Takiego momentu dzieckiem była Justyna i dlatego z tej mogiły uderzyły w nią strumienie uczuć i myśli, jeżeli nie zupełnie dla niej nowych, to nigdy dotąd silnie nie zaznanych i wyraźnie nie określonych. Pogrążyła się w nich tak, że całkiem zapomniała o sobie. Pierwszy może raz w życiu, zupełnie, absolutnie o sobie zapomniała, i tylko tego nie czuć nie mogła, że serce jej stawało się większe, jakby nabrzmiewało jakąś z tonów bez słów uplecioną pieśnią, i gorętsze, jakby spod tej trawy, do której piersią lgnęła, wydobywało się i w nią wnikało niewidzialne płomień. Byłyżby zaraźliwym żarem spoczywające w samotnych mogiłach prochy zapomnianych? Albo w zamian nie otrzymanych wawrzynów otrzymywałyżby ich kości dar wiecznego pod ziemią gorzenia i wyrzucania na świat niewidzialnych iskiei? Samotność i zapomnienie. Ileż wiosen, ile zim i jesieni przeminęło nad tym pagórkiem wznoszącym się za jeziorem jałowych piasków, w zamkniętym kole starego boru! Ileż przez ten czas przeniosło się po świecie hucznych, tryumfalnych, wesołych szumów, których najlżejsze echo tu nie doleciało! Płynęły dni za dniami, lata za latami; kędyś, daleko, w wesołe pary łączyli się tancerze i zakochani; pracownicy z płonami dłoniach wracali do ognisk domowych, wojownicy, z chwałą na czołach nieśli zwycięskie sztandary; po cmentarzach płonęły pochodnie żałobnych parad i kwitły róże kochającymi dłońmi zasadzone. Tu, nad tym grobem, wiecznie było cicho i samotnie. Świat o nim nie wie nic i tylko niebieskie sklepienie zapala nad nim w pogodne noce gromnice gwiazd i lampę księżycy, a w dżdżyste i burzliwe rozciąga mokre całuny chmur i huczy potężnym, żalonym hymnem wicherów. Wiosny i lata grają mu rozgłosną muzyką ptasich śpiewów, a zimy kładnąc po drzewach śniegi i szrony zmieniają je w marmurowe i kryształowe grobowce. Wtedy tu bywa zimno i pusto; blade słońce miriadami iskiei haftuje śnieżne wysłanie polany, a w kryształowych koronkach drzew przemienionych w grobowce czerwony gil niekiedy zagwizdże, sroka uderzy w żałobne skrzydła lub siwe wrony, te kumochy lasu, osiadą na nich i ochryplymi głosy zagadają o plotkach ziemi... Zupełnie jak w starej pieśni:

*Chyba czarny kruk zakracze,*

*Czarna chmura dżdżem zapłacze...*

Chyba też ziemia i drzewa powieją cmentarnymi woniami jałowcu i pleśni, a w letnie wieczory wysmukłe kampanule tknięte powietrzną pieszczotą uderzą w liliowe dzwonki na pacierz żałobny, który wyszepta chyba niskie trawy...

Justyna podniosła głowę, bo usłyszała szmer monotony, prawie srebrny, podobny do tego, jaki

wydaje łagodnie z wysokości spadająca woda. Podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą spływającą po czarności jodeł szeroką, ruchomą, srebrzącą się wstęgę. Ruchomość jej i srebrzystość podobna była do ściekającej z góry do dołu i wielkimi kroplami przelewającej się wody. Co to było? Czarodziejska kaskada jakaś przez rozrzuconą dłoń leśnej bogini nad mogiłą tą zawieszona? Była to grupa osin cienkich, blisko przy sobie rosnących, w liście bogatych i gałęźmi w jedną wstęgę ze sobą splecionych. Trafem zdarzającym się dość często wyrosły one wśród iglastej gąszczy, srebrzystym potokiem przerywały jej ciemność, a listki ich, okrągłe, drobne, gęste, jak srebrne krople w trwożliwym drzeniu błyskające, nieustannie, monotonicznie, srebrnie szemrały, szemrały.

(...) Wtem stanęli. Przed stopami ich, bladeżółtym pasem zieloność trawy i mchu przerywając, wśród grubej warstwy białego, drzewnego miału leżała na wpół obrobiona gruba kłoda drzewa.

— A! — stając przed tą przeszkodą zadziwił się Jan — w tamtą stronę idąc koło tej kłody nie szliśmy!

— Nie szliśmy — potwierdziła Justyna.

Rozejrzył się dokoła.

— Co mnie stało się? zdaje się, że dobrze ten bór znam; a nie tędy, kędy trzeba, panią powiodłem.

Słota jakaś na mnie napadła... żeby jeszcze, broń Boże, deszcz nas nie złapał...

Pilnie teraz patrzył na niebo, które nad drzewami tu i ówdzie już tylko ukazywało małe kawałki błękitu zza chmur łączących się w coraz większe i ciemniejsze płachty. U spodu boru pogasły wszystkie niedawno tak świetnie igrające światła słoneczne, a po szczytach jego wiatr przelatywał krótkimi jeszcze, urywanymi szmery. Ptastwo ze zdwojoną żywością świegotało i gałęzie napełniły się trwożliwym fruwaniami skrzydeł. Jan chwilę jeszcze rozglądał się po lesie.

— Niewielka bieda! — rzekł. — Niezupełnie złą drogą my poszli, tylko dłuższą. Teraz trzeba nam ciągle na prawo iść, to za kwadrans na brzeg wyjdziem, wprost naszego czoła, i przez piaski już przechodzić nie będziem.

Przeskoczył kłodę i wyciągnął rękę, aby do przebycia jej pomóc towarzysze. Ale ona już także znajdowała się po drugiej stronie i tylko suknią zaczepiła o gałąź zgniecionej przez obalone drzewo jadłowcu. Pochylił się, w mgnieniu oka przezroczyły zwój muślinu uwolnił od czepiających się go kolców i błyskawicznie prędko do ust go przycisnął. Justyna tego spostrzec nie mogła, tym bardziej że wnet prostując się, omglonym, lecz z pozoru obojętnym wzrokiem po lesie rzucił i tonem przedmiotowo czynionej uwagi rzekł:

— Piękne drzewa! Pan Korczyński dobre pieniądze mógłby wziąć, gdyby ten las sprzedał, Ale ot, nie sprzedaje jakoś...

Po chwili mówił dalej:

— Do nas też piękny kawałek tego lasu należy, to jest, nie do stryja tylko i do mnie, ale wspólnie do całej okolicy. Wszyscy mają prawo w nim rąbać, a że w tym rąbaniu żaden porządek zaprowadzony nie jest, powstają z tego kłótnie i niezgody. Las niszczy tak, że za lat kilka śladu po nim nie zostanie, i między sobą za włosy się o niego ciągną. Z panem Korczyńskim też z racji tego lasu ciągle wojny idą i żeby on dobry był, toby już dawno zamianę jaką z nami uczynił, czy tam pewne rozgraniczenie jakie, byle po sądach siebie i ludzi nie włóczył. Jeszcze by i nam do zaprowadzenia porządku dopomógł. Ale on i gadać z nami nie chce, chyba z przyczyny interesu jak do psów zagada, a innym razem spotkawszy się i nie spojrzy nawet na człowieka, jak wilk w ziemię patrząc...

Rzucił ręką i usta trochę wydał.

— Co tam o tym gadać! Każdy teraz o sobie tylko myśli i siebie kocha. Pan Korczyński podobno innym był kiedyś, a potem go coś odmieniło... nie wiadomo tylko, co takiego!...

Justyna próbowała bronić krewnego i opiekuna, o jego uciążliwej pracy gospodarskiej i majątkowych kłopotach opowiadając, ale przed tym sercem świeżym i nienawiścią nie zatrutym długo bronić go nie potrzebowała.

— Pewno! pewno! — twierdząco wstrząsając głową powtarzał Jan — utrapienia i aprensje złość w człowieku rodzą. Ja sam, pamiętam, kiedy kilka lat temu Fabian mnie prześladował, na kłótnie wciąż wyzywał i pole moje jak swoje zaorywał, w taką złość wpadłem, że do domu przyszedłszy garnek, co na stole stał, o ziemię cisnąłem i rozłukłem, siostrę, małą jeszcze, zląłem i stryjowi jeżem się postawiłem. A wszystko to uczyniłem nie dobrowolnie, tylko przez niecierpliwą zgryzotę i aprensję. Często cierpiąc, zdarza się, że nie ścierpisz!... (...)



### Tom III, rozdział II

W ostatnich dniach lipca, kiedy część zboża jeszcze nie zdjęta stała na korczyńskich polach, Witold i Justyna postępowali drogą z Bohatyrowicz do Korczyna wiodącą. Szli prędko i rozmawiali żywo, tak żywo i z takim zajęciem, że aż na policzki młodej panny wybiły się gorące rumieńce, a oczy jej, zazwyczaj trochę chmurne, jaśniały radością. Nie zatrzymując się i nawet kroku nie zwalniając do młodego krewnego rękę wyciągnęła.

— Dziękuję ci, Widziu, z całego serca dziękuję — z niezwykłym sobie wylaniem mówiła. — Wszystko, co mi powiedziałaś, przejęło mię głęboko. Od jakiegoś czasu te same myśli przechodziły mi przez głowę, tylko ich tak wyraźnie układać nie umiałam. Nie jestem, widzisz, ani uczoną, ani pod żadnym względem wyjątkową... sama jednak nie wiem dlaczego, dostrzegłam już w życiu wiele rzeczy marnych i trochę ważnych...(...)

— Trzeba wiedzieć — zaczął Witold — że ojciec utrzymuje Korczyn w dziwnej całości i porządku. Pracuje też prawdziwie jak wół, tylko że wół takich kłopotów i niepokojów nigdy nie ma... Dobrze, że mu dziś trochę dopomóc mogłem, bo kiedyśmy się w okolicy spotkali, wracałem właśnie z pola, gdzie mię do robotników był posłał. Biedny, kochany ojciec!

W tej samej prawie chwili stanął jak wryty i z nagle ściągniętymi brwiami słuchać zaczął. Z drugiej strony stodoły na folwarcznym dziedzińcu rozlegał się głośny, gruby, rozgniewany krzyk Benedykta. Słów tego krzyku nie można tu było rozróżnić, ale czuć w nim było groźby i obelgi. Witold rękę podniósł do czoła.

— Jak mię to boli! Boże, jak mię to zawsze boli...

Krokiem przyśpieszonym zaczął iść dalej, o towarzyszcze swej zupełnie zapominając.

Słońce zaszło już przed kwadransem i tylko nad zaniemeńskim borem pozostawiło szeroki pas jaskrawy, który dachy i szczyty drzew korczyńskiego dworu oblewał do pożogi podobnym czerwonym światłem. Tam, gdzie dziedziniec folwarczny szeroko otwierał się na Niemen, pomiędzy jednym z czworaków a stajnią, na tle czerwonych zarzecznych obłoków postać pana Benedykta rysowała się na kształt czarnej sylwetki, wysokiej, ciężkiej, wąsatej, której rysy znikały w oddaleniu, ale ramiona dokonywały gwałtownych gestów i długie wąsy szamotały się u piersi. Naprzeciw tej sylwetki stała druga, również na tle czerwonych obłoków czarna, ale znacznie niższa, z krępyimi kształtami i głową, która jeżąc się rozczochraną czupryną lekliwie wtulała się w ramiona. Pośrodku znajdowało się jakieś narzędzie rolnicze zaprzęzone we dwa konie melancholijnie ku trawie dziedzińca łby pochylające; u drzwi czworaka i wrót stajni stały gromadki ludzi w milczeniu i nieruchomości krzyków pana domu słuchając. Witold szybko przebywając dziedziniec kierował się ku dwom czarnym sylwetkom przez narzędzie rolnicze i parę nieruchomych koni rozdzielonym. Stając, od pośpiechu, z jakim szedł, trochę zdyszany, zapytał:

— Co to, ojczy?

Nie było już na nim ani śladu wesołości i szczęśliwego, młodzieńczego uniesienia, z jakim przed chwilą z Justyną rozmawiał. Ale pan Benedykt na wyraz twarzy syna wcale nie zwrócił uwagi. Rozpaczliwym gestem wskazując mu stojącego o dwa kroki parobka, głośniejsze jeszcze niż przedtem wybuchnął:

— Skaranie boże nieszczęście! zguba prawdziwa z osłami i łajdakami tymi! Żniwiarkę mi zepsuł! Kilka dni z nią, po polu pojeździł i już zepsuł! A czy ty wiesz, gałganie, że ta żniwiarka więcej kosztuje, niż ty cały wart jesteś! Czy ty wiesz, że ja dobrze musiałem sobie głowy nałamać, nim zdobyłem się na jej kupienie?... Ale co to was obchodzi, że komuś szkodę zrobicie? Czy wy macie serce albo sumienie, osły, łajdaki, gałgany...

— Mój ojczy... — spróbował przerwać Witold.

Ale Benedykt, jakby właśnie próbę tę chciał udaremnić, więcej jeszcze głos podniósł.

— Czy ty myślisz — wciąż do parobka się zwracał — że ja ci to daruję? Żniwiarkę do naprawy poślę, ale co za nią w mieście zapłacę, to ci z pensji wytrączę...

Na te słowa chłop krępy, w siermiędze ubrany, po raz pierwszy kudłatą głowę z ramion wysunął i mrukliwie przemówił:

— Nie wytrącajcie, panoczku, bo z czegoż ja z dziećmi żyć będę...

— Z głodu nie zdechniesz!... — krzyknął Benedykt Ordynarię masz... dach nad głową masz... krowę

nawet trzymać wam pozwalam... A gdybyś zresztą i ziemię miał gryźć, wytrącę... jak Boga kocham, wytrącę... żebyś nauczył się, łajdaku, własność cudzą szanować !

— Mój ojcze! — głośniejsz niż przedtem przemówił znowu Witold i wyprostował się znad żniwiarki, której zepsucie bacznie i prędko obejrzał. — Mój ojcze! ja się na tym znam trochę... w przeszłym roku tam, gdzie lato spędziłem, żniwiarki psuły się często, a ja przypatrywałem się, jak je naprawiano. Tę można będzie naprawić w domu, z małym kosztem i prędko... ja sam się tym zajmę... Maksymowi nie trzeba będzie nic z pensji wytrącać...

Zwrócił się do parobka, który czapkę mnąc w rękach z nogi na nogę przestępował, wzdychał i coś niewyraźnie mruczał.

— Słuchaj, Maksymie, czy ty rozumiesz, jak ta żniwiarka jest zrobiona i jakim sposobem żąć może? Pewno nie rozumiesz i dlatego ją zepsułeś, że nie rozumiesz... Oto, popatrz i posłuchaj, ja ci to zaraz pokażę i wytłumaczę...

Łagodnie, powoli, wyrażań chłopu zrozumiałych dobierając, z łatwością zdradzającą wielkie oznajmienie się z ludem, Witold mówił przez dobry kwadrans, składowe części narzędzia i połączenia ich żywymi gestami pokazywał. Parobek w postawie pokornej i ociężalej słuchał zrazu leniwie i tylko z przymusu, ale po paru minutach pochylił się i na żniwiarkę, to znowu na mówiącego spoglądać zaczął z ożywieniem i ciekawością. Kiwał przy tym głową w znak zdziwienia lub zrozumienia, z cicha pomrukiwał, wskazywanych mu części żniwiarki grubymi i węzłowatymi palcami dotykał.

— No, widzisz — prostując się kończył student — nic tu takiego mądrego nie ma i tylko w obchodzeniu z tą maszyną trochę trzeba ostrożności i uwagi. Jutro obydwaj wstaniemy o świcie, maszynę do kowala zawieziemy, a w jaką godzinę po wschodzie słońca będziesz już mógł w pole z nią wyjechać. Straty nie będzie żadnej ani nam, ani tobie...

Ostatnie słowa widocznym zadowoleniem okryły ciemną, gęsto obrosłą twarz chłopca. Schylił się i z głośnym cmoknięciem całując rękaw surduta Witolda z uśmiechem i głośno przemówił:

— Dziękuję, paniczku! Daj Boże zdrowie!

Po czym lejce z ziemi podniósł i cmoknął na konie, które żniwiarkę ku stajni pociągnęły.

Benedykt od chwili wstawienia się syna w scenę pomiędzy nim a parobkiem zachodzącą stał nachmurzony i silnie węża w dół pociągał. Po oddaleniu się chłopca wzrok podniósł na syna.

— Dałeś mi lekcję obchodzenia się z ludźmi. Teraz widać takie czasy przyszły, że jaja kury uczą. Dziwię się tylko, że od tylu lat nad książką ślęcząc umiesz tak biegle i w sposób odpowiedni z chłopami rozmawiać...

— Jeżeli ci się to nie podoba, mój ojcze — żywo odrzucił Witold — samemu sobie chciej winę przypisać.

Kiedy dzieckiem pod twoim okiem rosłem i kiedy następnie ze szkół do domu przyjeżdżałem, nie wzbraniałeś mi przestawania z wiejską ludnością...

Zwracając się ku domowi Benedykt sarknął:

— Na siebie samego bicz kręciłem. Według idylli, która w twojej dziecinnej głowie powstała, sądzisz teraz ojca...

— Idylla! — popędliwie zawołał Witold. — Upewniam cię, mój ojcze, że patrzę na rzeczy bardzo trzeźwo i że... na razie... szczytem moich marzeń jest to, aby ludzie nie obchodzili się z ludźmi jak z bezmyślnymi bydłami... gorzej, jak z kamieniami chyba, bo przecież są na świecie takie dziwaczne usposobienia, które i dla bydła wyrozumiałość i litość mają...

Benedykt zaśmiał się z lekceważeniem.

— Kiedy już sam poturbujesz się dobrze nad gospodarstwem i interesami, będziesz wiedział, jakie różnice zachodzą pomiędzy teorią a praktyką, rzeczywistością a sielanką.

Witold wpadł mu w mowę:

— Jeżeli kiedy, mój ojcze, przekonany zostanę, że teorie moje z praktyką w żaden sposób pogodzone być nie mogą, w łeb sobie strzelę, ale od teorii nie odstąpię za nic...

Benedykt stanął jak wryty i popatrzał na syna takim wzrokiem, jakby go ujrzał nad brzegiem przepaści. Po chwili przecież uśmiechnął się.

— Dziecko jesteś... Każdemu zdaje się za młodu, że jeżeli gwiazdy z nieba nie zdejmie, w łeb sobie palnie, a potem i przy świetle śmierdzącej łojówki żyje...

— Albo — zaprzeczył Witold — za swoją gwiazdę i aby smrodu łójówek nie czuć, łeb sobie roztrzaskać daje... Ty, mój ojcze, znasz z bliska takie przykłady...

— Nie znam, nie wiem i nic wiedzieć nie chcę... sarknął Benedykt.

— Stryj Andrzej... — drżącymi trochę usty zaczął Witold.

Ale Benedykt znowu jak wryty stanął...

— Cicho! — stłumionym szeptem zawołał.

Szybko i z trwogą rozejrzał się dokoła, lecz w pobliżu nie było nikogo. Na usta Witolda wybiegł uśmiech bolesnej ironii.

— Nie lękaj się, ojcze — z wolna wymówił — nikt nie usłyszał, że ze czcią imię twojego brata wspomniałem!...

Ciemny rumieniec od siwiejących gęstych włosów aż po kołnierz koszuli okrył twarz Benedykta. Zmieszał się więcej jeszcze niż wtedy, kiedy Witold pokorną jego względem wierzyciela uniżoność zauważył. Złagodniał też i w bramie ogrodu, które dziedziniec folwarczny z dworskim rozdzielało, mówić zaczął:

— Każdy za młodu ma swoje marzenia i teorie, którym później praktyka kurty kroci. Łbem muru nie przebijesz, a tych ludzi gdybyś i miodem smarował, będą oni zawsze leniwi, niedbali i niezyczliwi...

— Cóż dopiero, kiedy się ich pieprzem karmi! — uśmiechnął się Witold.

— A kto ich tam, do diabła, chce pieprzem karmić? — z odradzającym się rozjątrzeniem rzucił Benedykt.

— Naprzód — zaczął Witold — aż nadto nasypało się im go do garnków z przeszłości, a potem...

Stanął i twarzą zwracając się ku folwarcznemu dziedzińcowi na czworaki wskazał.

— Wszak nie myślisz pewnie, ojcze, że ludzkie energie i uczucia rozwijać się mogą w tych okopconych i przeludnionych izbach? Mówiłeś przed chwilą, mój ojcze, że dach nad głową mają i ordynarię biorą... w dodatku trzydzieści rubli na rok, które zmniejszają się przy każdej szkodzie uczynionej przez nieoświeconą i niezgrabną rękę... Istotnie, jest to byt mogący wzniecać i rozwijać gorliwość, dbałość, zyczliwość...

— A więc — wybuchając przerwał Benedykt — wynajdź sposoby na budowanie dla nich pałaców i żywienie ich pasztetami... bo ja i sam ani pałacu sobie nie wystawiłem, ani pasztetów nie jadam... Tak krawiec kraje, jak materii staje. Kiedy sam z kredką w rękę zaczniesz kroić, przymierzać, łątać i koniec do końca tak ciągnąć, aby je związać, że ci czasem aż ciężkie poty na skórę wystąpią, wtedy przekonasz się, co to jest praktyka, i w ogólności, co to jest w naszych warunkach życie... oj, życie!

Roziskrzonymi oczami spojrzął na syna.

— Chciałbym — trochę ciszej dokończył — chciałbym bardzo, abyś po ukończeniu nauk do domu wracając mnie już tu nie znalazł... abym już wtedy był tam, gdzie... to... tamto... gdzie sobie dawno poszedł... to... tamto... Andrzej! i mnie byłoby lepiej, i tobie...

— Mój ojcze! — przerażonym głosem przerwać chciał Witold.

Ale Benedykt przerwać sobie nie dał.

— Tak — kończył — najpewniej byłoby lepiej... bo gdybyś miał do mnie przywiązanie...

— Wątpisz o nim, ojcze!

— Wątpię. Ale ponieważ tego nie ma... nie ma... no, to gdyby stary grat ustąpił, mógłbyś samowładnie w Korczynie rządzić i chłopów za pasterzy przebrawszy razem z nimi. położyć się nad strumykiem i w dudkę gwizdać...

Słowa te wymówiwszy koniec węża do ust włożył i z pochylonym karkiem, ciężko, prędko, szerokimi krokami ku domowi poszedł. Witold w bramie ogrodu stał jak skamieniały. Tak był wzruszony, że ramię mu drżało, gdy rękę do czoła podnosił.

(...) W sypialni pani Emili działy się straszne rzeczy, których przyczyną najważniejszą, ale nie jedyną, była dzisiejsza rozmowa matki z synem. Wczoraj już po wystąpieniu przy wieczerzy Benedykta położyła się do łóżka z biciem serca i duszeniem w gardle. W nocy nagabywały ją z lekka żołądkowe kurcze, które uspokajała lekarstwami i słuchaniem prawie do wschodu słońca głośnego czytania Teresy. Kiedy wszyscy w domu i dokoła domu pogrążali się już w ruch i zachody pracowitego dnia letniego, ona usnęła. Niewiele przed południem zdrowsza nieco, chociaż od smutnych na rozpoczynający się dzień przewidywać niezupełnie wolna, w śnieżnych puchach peniuaru ułożyła się na paskowym szezlongu po jednej stronie

mając filiżankę wzmacniającego kakao, po drugiej książkę, którą wczoraj czytać rozpoczęła; i niedawno też rozpoczęła włóczkową robotę. Tuż przy niej, z ręką na chustce zawieszoną, Teresa piła kakawo, bo kakao jej niesłużyło i z opowiadaniem o śnie dzisiejszym łączyła przewidywanie bólu zębów, dla zapobieżenia któremu użyła lekarstwa jednego, a drugie właśnie przygotowywała, gdy przez wpólotwarte drzwi buduaru zajrzał Witold i o pozwolenie wejścia zapytał. Pani Emilia nie tylko synowi wejść pozwoliła, ale gdy w rękę ją całował, kilka razy w czoło go pocałowała i łagodnym ruchem pociągnąwszy go ku obok stojącemu krzesłu o złej dzisiejszej nocy i w ogóle o swoim sfatygowaniu i zdenerwowaniu powoli, z uśmiechem cierpliwym i smutnym opowiadać mu zaczęła. Trwało to dobry kwadrans, po którym Witold prośbę, z którą tu przyszedł, wypowiedział. Pani Emilia najzupełniej zrazu nie zrozumiała, o co synowi jej chodziło, i była pewną, że słowa jego źle usłyszała.

— Gdzie? czyje wesele? Dokąd Leonia ma jechać? — z cicha i łagodnie zapytywała. — Przepraszam cię, Widziu, ale tak jestem osłabioną... z osłabienia mam szum w uszach...

Kiedy na koniec dokładnie słowa syna wyrozumiała, osłupiała zrazu od zdziwienia, a potem żądaniu jego oparła się stanowczo. Stanowczość ta była cicha, łagodna, ale niezłomna. Rzecz cała zresztą wydawała się jej tak niesłychaną, że nie uważała nawet za potrzebne przyczyn oporu swego wypowiadać.

— Ja — cicho i łagodnie mówiła — na takie dziwactwa zgodzić się nie mogę... Bardzo mi smutno, Widziu, że odmówić ci muszę, ale matką jestem i prowadzenie Leoni jest moim świętym obowiązkiem... Kiedy złożycie mię do mogiły, będziecie z nią postępować, jak się wam będzie podobało, ale dopóki ja żyję, moja córka nie będzie bywać w niewłaściwych dla siebie towarzystwach, psuć sobie układu i patrzeć na rzeczy, których nigdy widzieć nie powinna.

— Owszem, moja mamó, powinna ona wszystko widzieć i słyszeć, aby znać ten świat, ten kraj, których przecie mieszkanką i obywatelką będzie — przerwał Witold, jak tylko mógł najcierpliwiej; po czym parę minut jeszcze, jak tylko mógł najcichszym głosem, przekonywał matkę o konieczności dania Leoni więcej fizycznego ruchu a umysłowej wiedzy o naturze i ludziach, pośród których upływać miało przyszłe jej życie. Pomimo jednak powściągliwości, z jaką mówił, kilka jego wyrażen boleśnie panią Emilię dotknęło. Wzięła je za aluzję do jej własnej chorowitości i bezużyteczności. Zamiast więc współczucia, znajdowała u syna krytykę i przyganę! Jednak tego syna kochała! W dzieciństwie pieściła go więcej jak córkę, hałasować tylko w bliskości swojej nie pozwalając, a gdy dorósł, z lubością nieraz przypatrywała się jego wysmukłym kształtom i delikatnym rysom, które jej w rozrzewniający sposób przypominały takiego Benedykta, jakim on był w młodości i jakim, niestety, tak prędko i bezpowrotnie być przestał. Wielki żal do tego syna, który ani kochać nawzajem, ani rozumieć jej nie mógł, wzbierał w jej piersi i łzami napelniał ciemne, piękne, cierpiące oczy. Żadne przecież słowo gniewu lub urazy z ust jej nie wyszło; z wyrazem męczennicy na las swój zrezygnowanej wszystkiego, co mówił Witold, wysłuchiwała, i wtedy dopiero, kiedy o niezłomności oporu matki przekonany w rękę ją na pożegnanie całował, uczuła odnawiające się i tym razem gwałtowne kurcze żołądka. W kilka minut potem wiała się po szezlongu w istotnych i dojmujących męczarniach. Straszna gadzina hysterii tę formę dziś przybrała, aby ją przeszyć swoim żądłem. Na nieszczęście, Teresa, z ręką obezwładnioną i zębami, które od alteracji srodze się już rozboleły, pomocną jej tym razem być nie mogła. Do jednej chustki, na której wspierała rękę, dodała drugą, którą sobie twarz obwiązała, i skurczywszy się w kątku pokoju płakała nad cierpieniami przyjaciółki i swoją niemożnością przychodzenia im z pomocą, płacz od czasu do czasu połykaniem saliceli i morfiny przerywając. Zawołano panny służącej, okazała się jeszcze potrzeba przywołania Marty; w zachód około chorej wtrąciła się i Leonia, ale pani Emilia długo żadnej ulgi uczuć nie mogła, przeważnie dlatego, że ciężkie stapania i głośny oddech Marty drażniły ją i irytowały. Irytacji tej niczym nie objawiała, ale cierpienia jej uspokajały się daleko powolniej niż to bywało przy lekkim fruwanu i ptaszęcym szczebiocie Teresy. Daremnie Marta na palcach nóg stapać usiłując najciszej, jak tylko mogła kołysała w powietrzu swoją wysoką i ciężką postać, daremnie tłumiała oddech i dławiała się powstrzymywanym kaszlem: sam jej szept nawet, gruby i świszczący, drażnił nerwy chorej. Spozstrzegąła to wybornie i zgryzota, którą nad tym uczuwała, oblekała jej twarz wyrazem dotkliwego zmartwienia.

— Nigdy jej dogodzić nie mogłam i nie mogę — cichutko, jak się jej zdawało, do Teresy szepnęła i z głębokim wyrzutem samej sobie czynionym dodała: — Nie wiem, słowo honoru, po co żyję i chleb na tym świecie jem! Wieczna niedola!

Jednak po lekarza posyłać potrzeba nie zaszła. Benedykt po kilku minutach w pokoju żony spędzonych

do swego gabinetu wszedł i już brał za czapkę, aby udać się w pole, gdy przez drzwi otwarte w drugim pokoju zobaczył syna.

— Witold! — zawołał — pięknieś postąpił! Zirytowałeś matkę, która teraz przez ciebie choruje. Czy do waszych teorii i idei należy także sprzeczenie się z babami i sprowadzanie im nerwowych ataków?

— Szło mi o siostrę — cichszym niż zwykle głosem wymówił młody człowiek z krzesła powoli wstając i książkę, którą przerzucał, kładąc na stole.

Benedykt próg rozdzielający dwa pokoje przestąpił.

— Matka miała zupełną rację — zaczął. — Leoni po zebraniach i weselach chłopskich ciągać nie trzeba. Nie rozumiem nawet, skąd ci do głowy przyszło sielankowymi swoimi pomysłami matkę męczyć?

Witold milczał. Ręce w tył założył, powieki miał spuszczone i usta szczelnie zamknięte.

— Czemuż nie odpowiadasz? — rzucił Benedykt, którego milczenie syna drażniło.

Nie zaraz i z widoczną niechęcią syn odpowiedział:

— Myślałem o tym, ojczu, dlaczego mnie nigdy, ani w dzieciństwie, ani kiedym dorósł, sielanek tych nie wzbraniałeś, owszem... owszem... nieraz mię sam zachęcałeś do nich?

— Facecja! czy masz mię za ostatniego głupca, abym miał chłopca w puchach chować i na obłokach kołysać! Ale Leonia jest dziewczyną, a co chłopcu idzie na zdrowie, dziewczynie może zaszkodzić. Ty pewno i z tym się nie zgadzasz? co?

Witold milczał. W twarzy jego po raz pierwszy Benedykt spostrzegł coś na kształt zaciętości, silne postanowienie wytrwania w milczeniu zdradzającej.

— Cóż? — wymówił — czy nie uważasz mnie nawet godnym rozmowy z sobą?

Nie podnosząc powiek młody człowiek odpowiedział:

— Pozwól mi, ojczu, milczeć i tym sposobem nie ranić ciebie i siebie...

— Nie ranić! — powtórzył Benedykt. — Masz słuszność! Nie nowych ran spodziewałem się od ciebie, ale może zagojenia tych... które...

Ręką machnął.

— Ale — dodał — to już na świecie tak! Przeciw komu Pan Bóg, przeciw temu i wszyscy święci! Niech jeszcze i to!...

Porywczym ruchem czapkę na głowę włożył i wyszedł; Witold zaś stał długo na miejscu, w ziemię wpatrzony, do krwi prawie wargę sobie przygryzając, ale gdy pod gankiem tętent konia usłyszał, szybko do okna podszedł i nie opuścił go dopóty, dopóki odjeżdżający ojciec na drodze długim szlakiem ciągnącej się za bramą z oczu mu nie zniknął. Niespokojny, nad czymś namyślający się, z czymś wewnątrz walczący, chodził czas jakiś po pustej sali jadalnej, aż przeszedł sień i salon, u drzwi matczynego buduaru stanął i na ich klamce rękę położył. Stał tak chwilę w nieśmiałej i wahającej się postawie, potem cichutko drzwi otworzył, ale zaledwie głowa jego ukazała się w przyciemnionym pokoju, gdy nagle wszystkie, prócz pani Emilii, znajdujące się w nim osoby obydwoma rękami ku niemu machać zaczęły. Przed chwilą właśnie chora uspokoiła się nieco i zdawać się mogło, że zadrze mała. Ujrawszy zaglądnącego do pokoju Witolda Marta, Teresa, Leonia i panna służąca w najgłębszym milczeniu i z najwyższym przerażeniem ramionami ku niemu zamachały. Miało to znaczyć, aby co prędzej odszedł i spoczynku chorej nie przerywał. Odszedł, a w kilka minut potem widać go było z fuzją na ramieniu, z czarnym Marsem i książką wyglądającą z kieszeni surduta idącego w kierunku Olszynki.

Nigdy jeszcze nie widywano Benedykta tak ponurym i rozjątronym, jak tego lata, w którym na głowę spadł mu nowy majątkowy kłopot, a na serce tajemny i niespodziewany smutek. Ten smutek niemal z każdym dniem wzmacniał się zdawał. Stosunki jego z synem były na pozór dobre, ale tylko na pozór. Chodzili razem po korceńskich polach, rozmawiali o agronomicznych studiach, w których Benedykt niegdyś, a Witold teraz żywe miał zamiłowanie, lecz obaj czuli, że to ich zetknięcie było zupełnie zewnętrznym, że dusze ich coraz więcej oddalały się od siebie. Od tego wieczora, kiedy Benedykt w bramie folwarcznego dziedzińca rzucił synowi bolesne wyrazy pragnienie rychłej śmierci objawiające, Witold zamknął się w niezłomnym milczeniu o wszystkim, co z najpowszedniejszymi sprawami związku nie miało. Chętnie o przedmiotach codziennych i obojętnych z ojcem rozmawiał, śpiesznie pochwytywał każdą sposobność dopomożenia mu w pracy lub oddania jakiegokolwiek przysługi, ale o przekonaniach swoich, o tym, co mu się podobało lub nie podobało, o własnej także przyszłości nie mówił z nim nigdy. Ilekroć przewidywał, że wydarzyć się to może, na twarzy jego zjawiał się ten sam wyraz zaciętego

postanowienia, który już raz dotkliwie rozjątrzył Benedykta. Jątrzył go zawsze i coraz bardziej. Wolałby już był otwarte, nawet zawzięte sprzeczki niż to zamykanie się przed nim duszy, której wybuchliwą otwartość znał, więc sztuczną skrytość coraz więcej raniącym go przyczynom przypisywał. Bywały dni, w których nawzajem zdawali się siebie unikać i prawie wcale nie widywali się z sobą; i inne, w których nie szukając się z pozoru spotykali się jednak na każdym kroku, na wspólne przechadzki wychodzili i długie prowadzili rozmowy. Ale w tych rozmowach każda nuta serdeczna, każdy początek zwierzenia czy wylania urywały się prędko ustępując przed tajonym ze strony jednej, a w gorzkich i porywczym słowach wybuchającym z drugiej rozdrażnieniem. Jednego z dni takich całą może godzinę rozpatrywali razem naukowe książki Witolda, z których młody człowiek czerpał tematy do opowiadania ojcu o różnych nowych pracach na szerokim świecie w dziedzinie agronomii dokonywanych.

— Do diabła! — zawołał Benedykt — kiedy teraz pomyślę, że i ja kiedyś tyle książek czytałem i mądrości zjadałem, oddziwić się temu nie mogę. Teraz, panie, tak odwykłem, że jak tylko co drukowanego do ręki wezmę, zaraz zadrzemie!

I na przywieziony ze szkoły synowski księgozbiór — wcale nieduży — tak wystraszonymi, prawie przerażonymi oczami patrzył, że Witold zrazu parsknął wesołym śmiechem, a potem zaraz coś jakby litość czy rozrzewnienie wzrok mu napęłniło. Wziął rękę ojca i do ust ją przycisnął. Benedykt namyślał się nad czymś przez chwilę.

— Widziu — niepewnym trochę głosem wymówił — mam do ciebie prośbę!

— Ty, ojczu, do mnie? prośbę? Rozkazuj tylko...

Istotnie, widać było po nim, że gotów był w tej chwili rzucić się w ogień lub na skraj świata skoczyć. Długi wąs na palec motając i wzrokiem mijając twarz syna Benedykt mówić zaczął:

— Za trzy tygodnie wyjedziesz z Korczyna... trzeba przecież, abyś wizytę pożegnalną ciotce oddał. Otóż, wiesz dobrze, jaki mam kłopot z tym długiem Darzeckich... Gdybyś do nich pojechał, o przedłużeniu mi terminu lub rozłożeniu wypłaty na lat kilka ciotki poprosił, przymilił się do niej, zjednął ją sobie... Same córki tylko mając ona za synami braci przepada, a Zygmund, kiedy siedział za granicą, ciągnął z niej, ile sam chciał... Może by więc i dla ciebie teraz tę łaskę zrobiła... Wprawdzie Darzecki sam interesami rządzi, ale ona ma nad nim wpływ wielki, i przy tym to człowiek próżny, który za jeden niski ukłon, za jedno pocałowanie ręki, wiele uczynić może... Cóż? zrobisz to dla mnie, Widziu?

Ciężka chmura okryła rozjaśnioną przed chwilą twarz młodego człowieka. Milczał. Benedykt trochę podejrzliwie, a trochę wstydliwie na niego spojrział.

— Cóż? zrobisz to, o co cię proszę? — grubiej już nieco zagadnął.

— Nie, mój ojczu... boli mię to bardzo... ale nie... stłumionym głosem odpowiedział Witold.

— Dlaczego? Raczże mi przynajmniej wytłumaczyć...

— Pozwól mi, ojczu, milczeć!

— Znowu! — krzyknął Benedykt i twarz jego od włosów do szyi zaalała się szkarłatem. Chciał coś mówić, długo jednak nie mógł, aż ze stukiem krzesło, na którym siedział, odsuwając zawołał:

— Dobrze. Milczmy obaj. Chcesz mi być obcym? Zamykasz się przede mną jak przed wrogiem? Dobrze. Bądźże łaskaw uważać mię od tego czasu za swego znajomego, który tym tylko różni się od wszystkich innych, że weźmiesz po nim sukcesję!

Tym razem Witold, bardzo blady, drżał cały, a z oczu sypały się mu iskry. Uczynił zrazu ruch taki, jakby miał za odchodzącym ojcem poskoczyć i z ust rzucić w zamian otrzymanej obelgi grad gorzkich wyrzutów. Ale nie uczynił tego. Było w nim coś, co nakazywało mu powściągać się i raczej wszystko znosić niż stargać do reszty łączący go z ojcem węzeł. Upadł tylko na krzesło, w obie dłonie wziął czoło i zawołał:

— Okropność! okropność! Porozumieć się nie podobna! Błędne koło!

Łatwiej zapewne porozumieć by się mogli, gdyby obydwoj nie byli krewcy i wybuchliwi; gdyby nade wszystko nieustanne rozjątrzenie, w którym od lat dwudziestu kilku żył ojciec, nie przeszło drogą odziedziczenia i niejako zaszczepienia w krew i nerwy syna. W krwi i nerwach obydwóch gorzkim warem płynęły z jednej strony przebyte, a z drugiej widziane i odczute niezmiernie cierpienia.

Raz jednak, wkrótce po skończeniu żniw, Benedykt z sąsiedniego miasteczka do domu powracający siedział na bryczce z tak rażną i wypogodzoną miną, jakiej od dawna już nikt u niego nie widział. Zapominając nawet o gderaniu siedzącego na koźle stajennego chłopca, filuternie uśmiechał się do siebie

i, co mu się niezmiernie rzadko zdarzało, zamiast w dół pociągać, w górę czasem podkreślał węża. Gdy na dziedziniec wjeżdżał, zobaczył odjeżdżający od ganku i nieco z boku w cieniu jaworów zatrzymujący się zgrabny koczyk, czterema pięknymi końmi założony, ze stangretem w liberii. Na ganku zaś stał tylko co tym koczykiem przybyły Zygmunt. Z parokonnej, trzęsącej, na żółto pomalowanej bryczki wyskakując Benedykt uprzejmiej niż zazwyczaj synowca powitał:

— W szczęśliwy dla mnie dzień przyjechałeś, Zygmsiu! Jakbym na sto koni siadł, taki rad jestem!

Zygmunt milcząc szedł za stryjem w głąb domu, a Benedykt znalazłszy się już w gabinecie swoim zdjął płaszcz płócienny, czapkę na krzesło rzucił i z kieszeni surduta list jakiś wyjął. Był to na pocztę w miasteczku otrzymany list od prawnika, któremu prowadzenie procesu z Bohatyrowiczami powierzył i który uwiadomił go, że strona przeciwna w podaniu skargi do instancji wyższej terminu uchybiła, że zatem wygrana pozostaje przy nim wraz z przyznaną mu przez pierwszą instancję sumą, koszta procesu wynagrodzić mu mającą. Listem o dłoń uderzając i szerokimi krokami po pokoju chodząc Benedykt wołał:

— Na swoim postawiłem! I przegrali, i będą jeszcze musieli tysiąc rubli mi wypłacić! Dla nich to suma ogromna, a i dla mnie także niemało znaczy... szczególnie teraz. Ot, lament podniosą! Ale nie daruję! Jak Boga kocham, ani grosza nie daruję! Jeżeli dobrowolnie nie oddadzą, licytować będę... konie, krowy, graty i choćby poduszki zlicytuję, a swoje odbiorę! Niech nie zaczynają! I mnie przecież ten proces kosztował, nie tyle wprawdzie, ale zawsze kosztował. A fatyga i zgryzoty czy za nic poczytywać się mają? Dla nich to dobra lekcja, a dla mnie tysiąc rubli... fiu, fiu! Nie piechotą chodzi!

Prawnik zapytywał w liście, czy ma czynić starania o wyegzekwowanie z bohatyrowickiej okolicy przyznanego mu przez sąd zwrotu kosztów. A jakże! Naturalnie! Natychmiast musi odpisać, aby usilne, najusilniejsze starania o to czynił. Egzekwować będzie należną mu sumę, egzekwować bez żadnego na nic względu! Na żadną nawet zwłokę nie pozwoli, ściśle stosując się tylko do litery prawa, a jeżeli nie oddadzą prędko i dobrowolnie, na licytację wystawi, wszystko, co mają, na licytację... tak!

— Idź ty, Zygmsiu, na jakie pół godzinki do bab, a ja tę odpowiedź zaraz napiszę... Dziś wieczorem poczta z miasteczka odchodzi; umyślnego zaraz wysłać trzeba, ażeby nie spóźnić się...

Od dobrego już dziesiątka lat do napisania każdego listu przybierał się długo i z niechęcią. Dziś przecież już przed biurkiem siedział, papier z szuflady dostawał i ręce zacierał. Widocznie, przy zdarzeniach podobnych nie mu już, tak jak dawniej, we środku nie płakało.

Zygmunt, jak zawsze żurnalowy i trochę sztywny, z kapeluszem w rękę przez pustą salę jadalną przeszedł, ale po chwilowym wahaniu zamiast udać się do pokoiów pani Emilii, po wschodach z sieni na górę prowadzących iść zaczął. Dom ten znanym mu był od dzieciństwa; a chwilowe wahanie sprawiła mu tylko myśl, że na górze mieszkała nie tylko Justyna, ale także i Marta. Przez okno przecież zobaczył starą pannę z kluczami i dziewczką folwarczną idącą ku oddalonym budynkom. Drzwi pani Emilii były jak zwykle szczelnie zamkniętymi, salon zupełnie pustym; z góry dochodziły dźwięki skrzypiec. Wszedł na wschody; na wąskim i wpółciemnym korytarzyku oblały go fale muzyki Orzelskiego; otworzył drzwi prowadzące do pokoju, w którym, gdy był dzieckiem i dorastającym młodzieńcem, bywał dość często. Zamieszkiwała go wtedy Marta; teraz wiedział dobrze, że znaleźć tam może Justynę.

Istotnie, na widok wchodzącego młoda panna podniosła się u otwartego okna i robota, którą w rękę trzymała — jakaś biała chustka z wyhaftowaną już jedną literą — z rąk jej na stół upadła. Trochę zbłądła, potem zarumieniła się gwałtownie i zaledwie końcami palców dotykając dłoni, którą ze wzrokiem natarczywie w nią utkwionym wyciągnął ku niej przybyły, stłumionym nieco głosem zapytała:

— Cemu przypisać mam, kuzynie, odwiedziny twoje... w moim pokoju?

Zamiast odpowiedzi wpatrzył się w nią jeszcze uparciej i z żartobliwą pieśczołliwością wymówił:

— Niegościnnna! siadać mię nawet nie prosi!

— Owszem, usiądź, kuzynie, proszę!

Posunęła ku niemu krzesło i sama na uprzednim miejscu swoim usiadła, obojętna z pozoru, ale ze ściągniętymi trochę brwiami i migocącym w dalekiej głębi oczu zatrzwożeniem. Usiadł tak, że końcem stopy obutej w cielisty kamasz i błyszczący trzewik prawie dotykał jej sukni. W otwarte okno spojrzął.

— Dość malowniczy widoczek zaczął.

— Znasz go od dawna, kuzynie — obojętnie i z oczami na robotę spuszczonej zauważyła. Obok znajdującej się już na chustce litery jednej zaczynała właśnie haftować drugą.

— Przez co mam rozumieć — podjął Zygmunt — że nie potrzebuję wcale przyglądać się mu przez okno twego pokoju. Uprzejmą jesteś, kuzynko! Zresztą, masz w części słusność. Nie posiadam sztuki zachwywania się widokami rodzinnej natury, może dlatego, że silne wrażenia wywierać na mnie może to tylko, co jest nowym, oryginalnym, niespodzianym... Jakże można porównać taki choćby jak ten ładny widoczek ze wspaniałymi, zachwycającymi scenami natury...

Tu z wielkim istotnie wdziękiem słowa, wytwornie i malowniczo mówić zaczął o Renie, Dunaju, Alpach, szwajcarskich jeziorach, Adriatyckim Morzu... Może po części myślał o podbiciu ucha słuchaczki, bo głosowi swemu nadawał miękkie, muzykalne modulacje, ale widać też było, że wszystko, o czym mówił, budziło w nim kiedyś szczere zachwycenie, a teraz tęsknotę. Mówiąc nieustannie patrzył na pochyloną nad robotą głowę Justyny. Wzrok jego przesunął się po jej kruczym, lśniącym warkoczu, po czystych liniach śniadego czoła, po spuszczonej i frędzlą czarnych rzęs otoczonych powiekach, aż utkwiał w pąsowych, pełnych, zupełnie w tej chwili spokojnych ustach i spłynął z nich na kibić, której świeże i silne kształty rysowały się pod ciemnym stanikiem, a piersią poruszał oddech powolny i głęboki. Mowa jego stawała się też powolniejszą; kilka razy zająknął się, ręką dotknął czoła, aż nagle w połowie zdania opowiadanie przerywając z rumieńcami wytryskującymi mu na blade policzki ciszej przemówił:

— Spodziewam się, że nie myślisz, kuzynko, abym tu przyszedł w celu opowiadania ci o łąkach i wodach tego świata...

Nie zmieniając postawy oczy na niego podniosła:

— Gdy tu wchodziłeś, zapytywałam cię właśnie, kuzynie, o przyczynę...

— Przyczyna taka. Chciałem cię zapytać: czy to prawda, że pan Rózyc stara się o ciebie, i czy... ewentualnie... masz zamiar poślubić tego już teraz wszechstronnie chudego milionera?

Mówił śpiesznie i głos jego był trochę świszczący. Ona ręce z robotą na kolana opuściła i głowę podniosła.

— Jeżeli zechcesz powiedzieć mi, kuzynie, jakim prawem zapytujesz mnie o to, wówczas na pytanie twoje odpowiem...

Powściągając się widocznie znowu zapytał:

— A ty sama tego prawa nie domyślasz się czy...nie uznajesz?

— Nie domyślam się — odpowiedziała.

Pochylił się i chciał ująć jej rękę, ale ona krzesło swe cofnęła i ramiona u piersi skrzyżowała.

— Jest to najświętsze ze wszystkich praw na ziemi... prawo miłości! — zawołał.

Justyna szybko z krzesła powstała i dalej jeszcze ku otwartemu oknu cofając się zawołała:

— Proszę cię, o! proszę cię, kuzynie, idź stąd!

Ale on tuż przed nią stanął.

— Nie lękaj się, Justyno, nie lękaj się niczego... Ta miłość, o której słuchać nie chcesz, jest tak czystą, wzniosłą, idealną, że obrażać cię nie może... Wiem dobrze, co powiedzieć mi możesz. Sam dobrowolnie utraciłem to, czego teraz wszystkimi siłami pragnę... Ale przebacze mi chwilę słabości... Przypomnij sobie wiersz, który oboje tak lubiliśmy dawniej: *Ils ont péché, mais le ciel est un don; ils ont aimé, c'est le sceau du pardon!* Bądź wspaniałomyślną i zwróć mi swoje serce, swoją ufność, przyjaźń... swoją duszę! Niczego więcej nie chcę, niczego więcej nigdy od ciebie nie zażądam, tylko — duszy twojej, Justyno!

Przy ostatnich słowach z rozgorzałymi oczami obie już ręce jej pochwycił. Po jej twarzy przebiegły ironiczne drgnienia. Ręce swe z dłoni jego wysuwając zapytała:

— Czy to dusza moja, Zygmuncie? Te moje ręce, które w swoich chcesz trzymać, czy to moja dusza?

Potem znowu ramiona u piersi krzyżując z podniesioną, trochę pobladłą twarzą mówić zaczęła:

— Dobrze, powiem wszystko i niech się to już raz skończy. Kochałam cię, kuzynie, do tego stopnia, że po latach niewidzenia i kiedy już poślubiłeś inną, jeszcze nie mogłam obojętnie słuchać twojego głosu, a przy każdym twoim zbliżeniu się do mnie czułam, że wszystko wraca... wszystko, cała przeszłość moja do mnie wraca! Boże! jak ja cierpiałam! Kiedy przyjeżdżałeś do Korczyna, nie chciałam cię widzieć i nieraz jak szalona ku brzegowi rzeki biegłam... z myślą, że śmierć jest lepszą niż taka walka i taka trwoga...

— Justyno! Justyno! — z nowym wybuchem rzucił się ku niej Zygmunt.

Ale ona rozkazującym gestem usunęła go od siebie i dalej mówiła:

— Taka trwoga! Bo nie, tyle żałowałam tego, co miałam kiedyś za najwyższe dla siebie szczęście, ile



lękałam się... ach, jak lękałam się jakiejś złej chwili... jakiejś okropnej chwili... w której bym sama... która by... która by mnie wtrąciła w ostateczne już poniżenie. Poniżyć się nie chciałam... Tak, kuzynie, chociaż byłam bardzo upokorzona, chociaż i ty, kuzynie, i inni uczyniliście wszystko, coście uczynić mogli, aby mi dać poznać moją małość, moją nicość... ja jeszcze byłam dumną... owszem, wtedy dopiero stałam się dumną i lękałam się tego, co mi się wydawało ostatnim, najgłębszym poniżeniem... Duma moja, kuzynie, duma moja kobieca czy ludzka, nie wiem, odtrącała mnie wtedy od ciebie, broniła mię od ciebie, wypędzała mię z domu, kiedy przyjeżdżałeś... Czy wystarczyłaby ona zawsze?... Może tak... może nie... ale znalazłam inną pomoc, silniejszą!... Kiedy wtedy, pamiętasz? przy wielu gościach do mnie mówiłeś... twoja żona, kuzynie, coś w tobie zauważyć musiała... może jej kto o przeszłości powiedział... patrzyła na mnie. na ciebie, i w oczach jej łzy stanęły. Co mi ta kobieta złego uczyniła, aby miała przeze mnie płakać? Ja nie chcę, by ktokolwiek przeze mnie płakał! Wtedy kuzynie, złękłam się nie tylko już poniżenia i wstydu, ale nikczemności. Pomiedzy mną a tobą stanęły łzy, które zobaczyłam w oczach twojej żony. Pomiedzy mną a tobą stanęło moje sumienie!

Mówiła to profilem do niego zwrócona i nie na niego, ale w otwarte okno patrząc. Wyznania, które czyniła, zawstydzaly ją i mieszały. On z tego jej zmieszania, z samych nawet wspomnień o przebytych z jego przyczyny cierpieniach czerpał nadzieję i śmiałość. Tuż za nią stojąc, w samo ucho prawie, pieszczotliwie i z rozmarzeniem jej szeptał:

— Czy podobna, aby Justyna, moja dawna, marząca, poetyczna Justyna, przywiązywała wagę do światowych praw i przesądów albo do zabobonnych skrupułów?... Łzy Klotyldy? Ależ upewniam cię, że quand même uszczęśliwić ją potrafię! Sumienie? Rzecz względna! Inna dla natur niewolniczych i poziomych, a inna dla wyższych i niepodległych! Najświętszym prawem na ziemi jest miłość, najwyższą cnotą brać i dawać szczęście...

Chciała mu przerwać, ale on, roznamietniony i nadziei zwycięstwa nie tracący, mówił, a raczej szeptał dalej:

— Jestem bardzo nieszczęśliwy... zdaje mi się, że wszystko we mnie zamarło. Nie mam żadnego bodźca do życia... Nie mogę tworzyć. Ty jedna możesz mię wskrzesić i przywrócić szczęściu, życiu, sztuce... Opuść ten dom, zamieszkaj w Osowcach... ja tam teraz jestem panem. Moja matka wszystko dla mnie uczyni. Klotylda jest dzieckiem, które uszczęśliwić można cackami, a oślepić drobną monetą czułości... Będziemy żyć razem, nierozłączni... nie lękaj się nigdy nie obrażę i nie poniżę cię niczym! Będziesz tylko moją żoną, moim natchnieniem, towarzyszką i siostrą mojej samotnej duszy... Co świat podejrzliwy i brudny mniemać będzie o tym, że u boku mego staniesz, cóż nas to obchodzi, nas, którzy przebywać będziemy w krainie ideałów wyżsi i czystszy od świata?...

Tchu mu zabrakło; z roziskrzonym wzrokiem i wilgotnym czołem chciał w oczy jej spojrzeć i już kibici jej dotknął ramieniem. Ale ona gibkim i oburzonym ruchem cofnęła się o parę kroków i z twarzą tak prawie białą, jak leżąca na stole chustka, przez kurczowo zaciśnięte zęby wymówiła:

— On, ona i trzecia! Zupełnie jak we francuskich romansach, których kiedyś tak wiele czytawaliśmy razem!...

Nagle z wybuchającym uniesieniem zawołała:

— Za kogo mnie masz, kuzynie? O czym mówiłeś? Ależ ty chyba sam tego nie rozumiesz! Jak to! Kogoś niewinnego, kogoś, co nam nic złego nie wyrządził, krzywdzić w tym, co jest jego. szczęściem, honorem, może życiem; co dzień, co godzinę, co chwilę kłamać i oszukiwać wiecznie chodzić w masce czując pod nią trąd i plamy... Boże! i ty mi takie życie ofiarowywać chciałeś... Jakim prawem? Co ja ci złego zrobiłam? Jak śmiałeś? O! jakież to szczęście, że ja cię już nie kocham! Ale nie! Gdybym cię i kochała jeszcze, gdybym cię jeszcze tak jak dawniej kochała, przestałabym w tej chwili... z gniewu, z obrazy, z ohydy...

Teraz, gdy drżała i miała w dłoni leżącą na stole chustkę, gdy pierś jej podnosiła się szybko, a oczy, w których jednocześnie przebiegały błyskawice i łzy, wśród bladej twarzy świeciły jak czarne diamenty, poznać można było, że nie różaną wodę bynajmniej w żyłach swych miała, ale krew gorącą, popędliwą, dumną. Nigdy tak piękną nie wydała się Zygmunutowi. Z zachwyceniem, z żądzą, ale zarazem i z urazą na nią patrzył.

— Myślałem, że miłość wszystko obmywa i uświęca... — zaczął.

Ale ona mu przerwała:

— Zmień nazwę, kuzynie, proszę cię, zmień nazwę... to nie jest miłość, ale...

Zawahała się chwilę, zawstydzenie czoło jej rumieńcem oblało, prędko jednak dalej mówić zaczęła:

— To jest romans... pełno go we francuskich książkach... pełno go i w życiu... O, znam go, znam go od dawna. Był on przekleństwem mego dzieciństwa, kiedy zabijał mi matkę, a dla ojca szacunek odbierał... Spozstrzegałam go i potem pomiędzy ludźmi, a wszędzie, zawsze zaczynał się od... od gwiazd, a kończył się w błocie. O, muzy, siostrzane dusze, czyste uczucia, krainy ideałów... Boże! ile słów! ile pięknych, poetycznych słów! czy wy używając ich kłamiecie, czy nimi oszukujecie samych siebie? Może i tak bywa. Ale ta poezja jest tylko wstępem do wielkiej, wielkiej prozy... Powiedziałaś, że miłość uniewinnia i uświęca wszystko. Być może, ale nie taka, co kryje się pod ziemią i wstydzi się samej siebie. Powiedziałaś, że prawa miłości są najświętszymi ze wszystkich praw świata. O, tak! Ale o jakiej miłości, ty, wykształcony mężczyzna i artysta, mówiąc to myślałeś? Nie o tej, nie, najpewniej nie o tej, której świtanie od niedawna ja uczułam w sobie... Idź na mogiłę ojca, kuzynie, idź na mogiłę ojca... Kochaj to, co kochał twój ojciec...

Nagle urwała. Do ostatka widać nie chciała myśli swoich wypowiadać. Zygmunt stał przed nią z pochyloną twarzą i zaciśniętymi zębami.

— Filozofka! — syknął — rezonuje, waży, rozważa, rozróżnia...

— Nie — odpowiedziała — o filozofii dokładnego wyobrażenia nawet nie znam. A za zdolność do rezonowania i rozróżniania pozorów z prawdą tobie, kuzynie, obowiązana jestem...

Ze zdumieniem i niedowierzaniem patrzył na nią.

— Ależ to być nie może, abyś ty, Justyno, tak ognista niegdyś, poetyczna, zrobiła się nagle taką zimną, przesadną, poziomą! Nie! ty chcesz przemocą stłumić uczucia swoje! Dumną jesteś i przed samą sobą chcesz odegrać rolę bohaterki.

Wzruszyła ramionami.

— Powiedziałaś, że mamy oboje natury wzniosłe i niepodległe. Proszę cię, kuzynie, abyś zdanie swoje o mnie zmienił. Upewniam cię, że jestem kobietą zupełnie zwykłą i podległą zupełnie zwykłej uczciwości. Oto wszystko.

— Wszystko! i nic mi więcej nie powiesz? nic? nic?

— Owszem — śpiesznie odrzekła — koniecznym jest nawet, abym ci powiedziała stanowczo i raz na zawsze, że z uczuć, które miałam kiedyś dla ciebie, nie pozostało we mnie nic wcale, prócz prostej zresztą życzliwości, którą mam dla wszystkich na świecie ludzi, i że przedmiotem moich myśli i marzeń jest coś czy ktoś... może zarazem coś i ktoś z tobą żadnego związku nie mający...

— Zapewne pan Różyć i les beaux restes jego milionów... — wtrącił Zygmunt.

— Być może — odpowiedziała.

Zmieszany, obrażony, rozczarowany a jednak przez chwilę jeszcze ciekawego wzroku oderwać od niej nie mogący, wziął z krzesła kapelusz, oddał jej z dala ceremonialny ukłon i wyszedł z pokoju.

Było już po zachodzie słońca, kiedy ładny jego koczyc wtoczył się z turkotem pod kryty i brukowany ganek osowieckiego domu. Pani Andrzejowej na odgłos ten zadrżały trochę ręce, w których trzymała książkę. Na jednym z fotelów otaczających wielki stół z książkami i dziennikami siedząc podniosła głowę, spuściła powieki i ze spokojnymi rysami syna czekała. W sali znajdującej się na dolnym piętrze domu Klotylda grała na fortepianie. Jednocześnie z zaturkotaniem kół u podjazdu muzyka jej umilkła, potem ozwała się znowu i znowu umilkła, aż brzmień zaczęła burzliwie, bezładnie, czasem żałośnie, czasem hucznie... Była to gra istoty drżącej, niespokojnej, czasem prawie bezprzytomnej, a umilkła zupełnie w chwili, gdy Zygmunt do pokoju matki wchodził. Czuć było, że to dziecko, które tam, na dole wielkiego domu, grało z biegłością utalentowanej uczennicy muzycznych mistrzów, rozmowa mająca stoczyć się na górze przejmowała nieznośną boleścią i trwogą.

Kiedy wchodził do pokoju matki, od pierwszego spojrzenia poznać można było, że w drodze z Korczyna do Osowiec zajmowały go buntownicze myśli i że pod ich wpływem powziął jakieś energiczne postanowienie. Obok znudzenia i niesmaku jakieś stanowcze zdecydowanie się na coś malowało się w jego twarzy. Pocałował rękę matki i naprzeciw niej siadając zaczął:

— Powiedział mi Wincenty, że mama życzyła sobie widzieć się ze mną, gdy tylko do domu wrócę. A ja także w ten piękny wieczór z Korczyna wracając postanowiłem bardzo poważnie, pomówić dziś z mamą o rzeczach mających dla mnie wagę wielką, niezmierną...

Spojrzała na niego, w oczach jej zamigotał niepokój.

— Słucham cię, mów! Może myśli nasze spotkały się i o jednym przedmiocie mówić z sobą pragniemy.

— Wątpię — odpowiedział — jestem nawet pewny, że mamie nigdy nie przyszło na myśl to, co ja dziś mamie chcę zaproponować, a raczej o co chcę bardzo usilnie prosić.

Uśmiechnął się do matki pieszczotliwie, z przymileniem i, schyliwszy się znowu, piękną białą rękę na czarnej sukni spoczywającą pocałował.

— Parions — zażartował — że propozycją moją mama będzie zdumioną... nawet oburzoną... oh, comme je te connais, ma petite, chère maman!... ale po namyśle i spokojnej rozwadze, może...

— Słucham cię — powtórzyła, a piękne jej oczy, których blask łyzy i tęsknoty zgasiły, z niewysłowionym wyrazem powściągniętej czułości spoczywały na tej pochylonej ku jej kolanom głowie, na którą, Boże! Ileż nadziei, ileż jej cudownych marzeń i namiętych modlitw spłynęło!

Głowę podniósł, ale nie wyprostował się, tylko w poufnej i razem coś pieszczotliwego mającej w sobie postawie, ręki matki z dłoni nie wypuszczając mówić zaczął:

— Nieprawdaż, najlepsza mamó, że u stóp twoich i u twojego serca dziecinne i trochę późniejsze nawet lata spędziłem tak, jak spędzać je musiała la belle au bois dormant, słodko drzemiąca w swym kryształowym pałacu, wśród zakłętego lasu, którego nigdy nie dotykała jej stopa i z którego przychodziły do niej tylko wonie kwiatów i śpiewy słowików? Nieprawdaż, chère maman, że usuwałaś mię starannie od wszystkiego, co powszednie i pospolite, a przyzwyczajałaś w zamian do rzeczy pięknych, do uczuć delikatnych, do marzeń wzniosłych, nieprawdaż?

— Prawda — odpowiedziała.

— I to także jest prawdą, moja mamó, że przeznaczałaś mię do zadań i losów zupełnie niepospolitych, wysokich... a tak wszystko skierowywałaś, abym nie mógł i nie chciał mieszać się z szarym tłumem? Czy to jest prawdą, moja mamó?

— Tak — odszepnęła.

Z powstrzymywaną ciągle czułością, której głucha obawa zwalczyć nie mogła, słuchała jego mowy płynnej, pełnej wdzięku i czuła na swojej ręce pieszczotę jego ręki miękka, delikatna. Takim, jakim przedstawiał się w tej chwili, łagodny, rzewny, na skrzydłach poezji kołyszący się, Zygmunt czarował ją zawsze i nie tylko ją jedną, bo i tę także duszę kobiecą, z którą rozstał się on przed godziną, a która długo jak ptak upojony kapała się w tym czarze, i tę drugą, prawie dziecinną jeszcze duszyczkę, która teraz na dole tego domu tonęła w łzach i trwodze, i — wiele zapewne innych na szerokim świecie.

— Nieprawdaż, mon adorée maman, że potem sama wysłałaś mię w świat szeroki, gdzie wiele lat spędziłem wśród najwyższych wykwintów miast, wśród najwspanialszych widoków natury, na łonie sztuki... że przez te lata zupełnie odwykłem od tutejszej szarości i pospolitości, do których zresztą i nigdy przyzwyczajony nie byłem żyjąc w twoim idealnym świecie, tak jak zakłeta księżniczka żyła w swym kryształowym pałacu? Nieprawdaż, moja najlepsza, najrozumniejsza mamó?

— Prawda. Ale do czego zmierzasz?

— Zmierzam naprzód do tego, aby ci, ma chère maman, powiedzieć, że za wszystko, co wyliczyłem, jestem ci gorąco, niewypowiedzianie wdzięcznym...

Tu pochylony znowu ustami dotknął jej kolan.

— Następnie do tego, że przecież rzeczą jest niepodobną, zupełnie niepodobną, abym po takiej, jak moja, przeszłości, został na zawsze przykuty do tego kawałka ziemi, do tych stajen, stodół, obór... que sais—je? do tego okropnego Jaśmonta, który co wieczór przychodzi mi klektać nad głową o gospodarstwie... do tych... tych... que sais—je? zamaszystych i razem jak nieszczęście znękanych sąsiadów... Czyż to podobna? Moja droga mamó, czyż ktokolwiek, po takiej, jak moja, przeszłości, wobec takich, jak moja, ambicji i potrzeb może wymagać tego ode mnie?

Ręce szeroko rozpostarł, oczy mu się trochę szerzej niż zwykle rozwarły, zmarszczka przerznęła czoło. Silnie do głębi był przekonany, że wymaganie, o którym mówił, byłoby absolutnie niemożliwym i niesprawiedliwym. Pani Andrzejowa myślała chwilę. Do pewnego stopnia słuszności skargom syna nie odmawiała. Pamiętała wybornie o swoich własnych wstrętach i nieudolnościach. Po chwili z namysłem mówić zaczęła:

— Ciernie twojego położenia rozumiem dobrze. Wszystko to, co wyliczyłeś, czyni je dla ciebie

trudniejszym, niż bywa ono dla innych. Jednak, moje dziecko, niczyje życie na tej ziemi nie może być wolnym od usiłowań, walk, cierpień i spełniania trudnych...

Prędko z krzesła wstając mowę jej przeciął:

— Dziękuję! Mam już tych usiłowań, walk i cierpień aż nadto dosyć. Utopiłem w nich dwa lata mego życia. J'en ai assez!

— Gdybyś był wyjątkiem... Ale... wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi...

Stając przed matką zapytał:

— Nie jest przecież życzeniem mamy, abym pomnażał poczet nieszczęśliwych?

W głosie jej czuć było trochę drżenia, gdy odpowiedziała:

— Nie ma na świecie matki, która by dziecko swoje nieszczęśliwym widzieć chciała, ale ja dla ciebie pomiędzy niskim szczęściem a nieszczęściem wzniosłym wybrałabym drugie.

— Któż tu mówi o szczęściu niskim? — zarzucił — czyż przyjemności wyborowych towarzystw, piękności wspaniałej natury, rozkosze sztuki stanowią niskie szczęście?

— Najpewniej nie. Ponieważ jednak tu się urodziłeś, tu są twoje obowiązki, tu żyć musisz...

— Dlaczego muszę? — przerwał — dlaczego muszę?

Ale właśnie przybyliśmy w rozmowie naszej, droga mamó, do punktu, na którym umieszczę moją propozycję... non! moją najgorętszą prośbę...

Zawahał się przez chwilę, potem znowu przed matką siadając znowu pochylił się ku jej kolanom i rękę jej wziął w swoje dłonie. Znowu też pieszczotliwie, z wdziękiem, z odcieniem rzewności i poetyczności, mówić zaczął. Mówił o tym, aby sprzedała Osowce, które były dziedziczną jej własnością, i aby z nim razem za granicę wyjechała. Mieszkać będą w Rzymie, Florencji albo w Monachium, każdego lata wyjeżdżać w góry lub nad morze. Kapitał osiągnięty ze sprzedaży Osowiec w połączeniu z tym, co Klottylda posiada i jeszcze w przyszłości od rodziców otrzyma, wystarczy im na życie, nie zbyt wysokie, ale dostatnie i bardzo przyjemne. Zresztą, on może jeszcze kiedyś i bardzo bogatym zostanie, gdy w otoczeniu stosownym artystyczne natchnienia i zdolność twórczą odzyska. Żyć i podróżować będą zawsze razem, przyjemności wysokich używać, wszystkie marzenia swoje spełniać, tylko trzeba, aby wydostali się stąd koniecznie, aby koniecznie i co najprędzej wynurzyli się z tego morza pospolitości, nudy i powszechnych złych humorów. Z lekka żartować zaczął:

— Nieprawdaż, moja złota mamó, że tu panuje powszechny zły humor? Wszyscy po kimś albo po czymś płaczą, zbiedzeni, skłopotani, przełęcznieni... Stąd płynie melancholia, qui me monte á la gorge i dławi mię jak globus histericus tę biedną panią Benedyktową...

Raz tylko wyjeżdżałaś za granicę, droga mamó, i to dawno... jeszcze z ojcem. Nie znasz więc różnicy atmosfer... nie wyobrażasz sobie, ile znalazłabyś tam rzeczy pięknych, ciekawych, wzniosłych, prawdziwie godnych twego wykształcenia, smaku i rozumu!...

Milczała. Z głową podniesioną i spuszczoneymi powiekami siedziała nieruchomo, nie odbierając mu swojej ręki, która tylko stawała się coraz zimniejszą i sztywniejszą. Na koniec cicho, ale stanowczo przemówiła:

— Nie uczynię tego nigdy.

Porwał się z krzesła.

— Dlaczego? dlaczego?

Podnosząc na niego wzrok głęboki i surowy odpowiedziała:

— Dlatego właśnie, co powiedziałeś... Dla tej właśnie melancholii...

— Ależ to jest wściek... pardon! krańcowy idealizm! Krańcową idealistką jesteś, moja mamó!

Skazywać się na wieczny smutek, kiedy uniknąć go można, przyrastać do zapadłego miejsca na kształt grzyba, dlatego tylko że inne grzyby siedzieć w nim muszą — to idealizm bezwzględny, krańcowy idealizm!

Patrząc mu prosto w oczy zapytała:

— A ty, Zygmunco, czy nie jesteś idealistą?

On! ależ naturalnie! Uważa się on za idealistę i nie przypuszcza nawet, aby go ktokolwiek o materialistyczne zasady albo dążności mógł podejrzewać. Ale w tym właśnie tkwi niemożność pozostawiania jego tutaj. Spragniony jest ideałów i wyższych wrażeń, a otacza go sama pospolitość i monotonia. Idealistą zresztą będąc do ascetyzmu skłonności nie posiada. Fakirem ani kamedułą zostać nie

może. Jest on człowiekiem cywilizowanym i posiada potrzeby zaszczepione w niego wraz z cywilizacją: potrzeby uciech i rozrywek pewnego rzędu, tu do znalezienia niepodobnych. Dla braku wrażeń pracować nie mogąc, nie ma także żadnych przyjemności, a całe dnie przepędzać bez pracy i bez przyjemności jest to życie prawdziwie piekielne, od którego oszaleć można, nie tylko już ze zmartwienia i tęsknoty, ale z samej nudy...

Unosił się. Od dawna już pracujące w nim niezadowolenie i zniecierpliwienie teraz, wobec oporu matki grożącego ruiną jedynemu jego ratunkowemu planowi, nadwerężało w nim nawet zwykłą wykwintność form. Wyglądał daleko mniej żurnalowo niż zwykle. Z rękami w kieszeniach surduta pokój przebiegał; kilka razy gniewnie i niespokojnie własną swoją postać obejrzał.

— Tu każdy — wołał — największy choćby idealista, najgenialniejszy artysta, przemienić się musi w opasłego wołu... Ciało prosperuje, a duch upada. Czuję w sobie okropną degrengoladę ducha... Prawdziwie i głęboko nieszczęśliwym jestem... Marnieję, ginę, wszystko, co jest we mnie wyższego, idealnego, przemienia się w żółć i tłuszcz!...

Przy ostatnich światłach kończącego się dnia pani Andrzejowa ściagała wzrokiem gwałtowną przechadzkę syna po pokoju i wtedy dopiero, gdy przerwał się na chwilę potok jego wpółgryźliwej, wpółzałosnej mowy, głosem, który z dziwną trudnością wychodził z jej piersi, zauważyła:

— Czy zachęty do tej pracy, której pragniesz, i do tej, której nie lubisz, niejakiego przynajmniej wynagrodzenia braków, na które się skarżysz, nie możesz znaleźć w uciechach serca?... Ja kiedyś je posiadałam, znam więc ich moc i wagę. Jesteś, Zygmuncie, bardzo szczęśliwie ożeniony.

— Nie bardzo — sarknął.

Tak cicho, że zaledwie mógł ją dosłyszeć, zapytała:

— Czy nie kochasz Klotyldy?

Zakłopotany trochę, przechadzkę swą przerwał, stanął.

— Owszem... owszem... mam dla niej przywiązanie... dużo przywiązania... ale nie wystarcza mi ona... do duchowych moich potrzeb nie dorosła... ta wieczna jej czułość i nieustanne paplanie...

Z żywością mu przerwała:

— Jest to dziecko, piękne, utalentowane i namiętnie cię kochające dziecko, które w słońcu twojej miłości i przy świetle twego umysłu dojrzeć i rozwinąć się może... Nie tylko za szczęście, ale i za jej moralną przyszłość odpowiedzialnym jesteś...

— Pardon! — przerwał — na pedagoga nie miałem powołania nigdy i do kształcenia żony mojej nie obowiązywałem się przed nikim. Ce n'est pas mon fait. Jest się dobraną parą lub się nią nie jest. Voilà! A jeżeli w tym wypadku są jakieś nierówności, ofiarą ich z pewnością jestem ja.

Plecami do pokoju zwrócony stanął przed oknem, za którym słońce, już niewidzialne, zapalało nad drzewami parku szeroki pas różowy. Przez kilka minut panowało milczenie, które przerwał stłumiony głos pani Andrzejowej. Czuć w nim było zdejmującą ją niewysłowioną twogę.

— Zygmunsiu, chodź do mnie... chodź tu... bliżej!

A gdy o parę kroków od niej stanął, szeptem prawie mówić zaczęła:

— Na wszystko, co kiedykolwiek nas z sobą łączyło, co kiedykolwiek kochałeś, proszę cię, abys mi odpowiedział szczerze, zupełnie szczerze... Złęklam się, widzisz, niezmiernie myśli, która do głowy mi przyszła... Uczułam niezmierny ciężar na sumieniu... Jednak pragnę wiedzieć prawdę, aby móc jasno rozpatrzyć się w położeniu i co jest jeszcze do naprawiania, naprawić, czego uniknąć można, uniknąć... Czyżbyś prawdziwie i stale kochał Justynę? Czyżby to uczucie było przyczyną tak prędkiego zobojętnienia twego dla Klotyldy? Czy... gdybym... zamiast zrażać, zachęcała cię była do ożenienia się z Justyną i gdyby ona była teraz twoją żoną, czułbyś się szczęśliwszym, mężniejszym, lepiej do życia i jego obowiązków uzbrojonym?

Zapytań tych, wysłuchał z trochę gorzkim, a trochę lekceważącym uśmiechem, po czym z rękami w kieszeniach i podniesionymi trochę ramionami przechadzkę po pokoju znowu rozpoczynając odpowiedział:

— Bardzo wątpię. Wie mama, że rozczarowałem się do niej zupełnie Zimna jest, przesądna, ograniczona, przybiera jakieś pozy bohaterki czy filozofki... Przy tym dziś właśnie zauważyłem, że ma takie zgrubiałe ręce i w ogóle wygląda więcej na prostą, hożą dziewczkę niż na pannę z dobrego towarzystwa... Już też Klotylda daleko jest dla mnie stosowniejszą... bo delikatniejsza, staranniej

wychowana i wcale ładny talent do muzyki posiada... wcale ładny... Tylko że ja dziwnie łatwo oswajam się ze wszystkim, a jak tylko oswoję się, zaraz mię nudzi... Ca *dépasse toute idée*, jaki ja mam głód wrażeń... Prawdziwie, pod tym względem nienasycony jestem i dlatego właśnie w tej tutejszej monotonii ginę, marnieję, przepadam...

Mówił jeszcze czas jakiś, ale trudno było zgadnąć, czy pani Andrzejowa go słuchała. Odpowiedź jego upewniła ją o dwóch rzeczach: naprzód o tym, że przez Justynę odtraconym został, następnie, że żadnej z tych dwóch kobiet prawdziwie i stale nie kochał. Czy kogokolwiek lub cokolwiek mógł kochać? Powoli, powoli wyniosła kobieca głowa żalobnym czepekciem okryta chyliła się na pierś, w której wzbierała hamowana jeszcze burza uczuć, i podniosła się znowu wtedy dopiero, gdy Zygmunt kroki swe przed nią zatrzymując raz jeszcze ze zmieszaniem prośby i wyrzutu, pieśczośliwości i zniecierpliwienia pytać zaczął: czy cierpienia jego nie skłonią ją do wykonania planu, który ułożył? czy po namyśle, zimno na rzeczy spojrzawszy, nie zgodzi się na to, czego on pragnie i dla podtrzymania swoich twórczych zdolności, dla uniknięcia ostatecznej degrengolady ducha koniecznie potrzebuje?

Wtedy pani Andrzejowa głowę podniosła znowu i głosem, w którym brzmiała zwykła już jej wyniosłość i energia, odpowiedziała:

— Nigdy. Ja na te rzeczy nigdy zimno patrzeć nie będę. Dopóki żyję, nigdy na tej piędzi mojej rodzinnej ziemi, nigdy w tych ścianach obcy ludzie... obce bogi...

Nagle wybuchnęła:

— Wielki Boże! Ale po mojej śmierci ty to uczynić jesteś gotów... tak! ty to uczynisz pewno, gdy tylko ja oczy zamknę... Jak tchórz uciekniesz z szeregów zwyciężonych... jak samolub nie zechcesz łamać się chlebem cierpienia... Kawał Chrystusowej szaty rzucisz za srebrnik, ażeby kupić sobie życie przyjemne... Wielki Boże! Ależ ty chyba w chwili uniesienia... w dziwnym jakimś śnie okazujesz się takim... Zygmunco, o! mój Zygmunco! powiedz mi, że naprawdę inaczej myślisz, i czujesz...

Syn, spokojny i zimny, nie dając się unieść jej wybuchowi, jakby jej prawie nie słuchając mówił:

— Niech się mama nie unosi! Ależ, moja droga mamo, proszę się tak nie unosić! Któż tu mówi o samych tylko przyjemnościach życia? Mnie idzie o coś wyższego, ważniejszego... o moje zdolności... natchnienia...

— Czyż dusza artysty — zawołała — musi koniecznie być tylko motylem na swawolnych i niestałych skrzydłach przelatującym z róży na różę? Czy tu ziemia nic nie rodzi? czy tu słońce nie świeci? czy tu królestwo trupów? że żadnego błysku piękna i życia dokoła siebie znaleźć nie możesz?... że nic cię zachwyceniem czy bólem, miłością czy oburzeniem wstrząsnąć i natchnąć nie może? A ja marzyłam... a ja marzyłam...

Tu głos jej drzeć zaczął powściąganymi z całej siły łzami.

— A ja marzyłam... że tu właśnie, w otoczeniu rodzinnej natury, wśród ludzi najbliższych ci na świecie, twórcze zdolności twoje najpotężniej w tobie przemówią... że raczej tu właśnie najpotężniej przemawiać do nich będzie każda roślina i każda twarz ludzka, każde światło i każdy cień... że właśnie soki tej ziemi, z której i ty powstałeś, jej łzy i wdzięki, jej słodycze i trucizny najłatwiej wzbiją się ku twojej duszy i najpotężniej ją zapłodnią...

Stojąc przed nią w postawie zbiedzzonej, prawie skurczzonej, ręce gestem zdumienia rozkładał i prawie jednocześnie z nią mówił:

— Ależ ja tego wszystkiego nie znam... ja, ma chère maman, z tymi światłami, cieniami, słodyczami, truciznami etc., etc. od dzieciennych dni nie przestawałem nie zżyłem się... nie przywykłem do nich... wcale do czego innego przywykłem... Nie możnaż z cywilizowanego człowieka przedzierzgnąć się na barbarzyńcę z powodu... z powodu soków ziemi, z którymi się do czynienia nie miało!

Powoli, obu dłońmi opierając się o stół, bo może nogi posłuszeństwa jej odmawiały, powstała i zapłakała tak, jak płakała zwykle, bez łkania, bez najlżejszego drgnienia rysów, kilku grubymi łzami, które powoli stoczyły się po jej policzkach.

— Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! — powoli wymówiła. — Zbłądziłam. Pomiędzy tobą a tym, co powinno być najwyższą twoją miłością, nie zadzierzgnęłam dość silnych węzłów. Mówiłam ci wprawdzie o tej miłości zawsze, wiele... ale słowa, to widać siew nietrwały... Zbłądziłam... Ale, dziecko moje...

Tu białe ręce modlitewnym gestem na staniku żalobnej sukni splotła.

— Nie karz ty mnie za mój błąd mimowolny... o, mimowolny! bo myślałam, że czynię jak najlepiej... Zamykałam cię w kryształowym pałacu i w dalekie światy wysyłałam, bo w myśli mojej miałeś być gwiazdą pierwszej wielkości, nie zaś pospolitą świecą, wozem, nie szeregowcem. Widać zbłądziłam, ale ty błąd mój popraw. Pomyśl, głęboko pomyśl nad krótką historią swego ojca, którą znasz dobrze. Czy nie możesz z tego samego co on źródła czerpać siłę, męstwo, moralną wielkość? Twój ojciec, Zygmuncie, oprócz wielu innych rzeczy wielkich kochał ten sam lud, którym i ty otoczony jesteś, posiadał sztukę życia z nim, podnoszenia go, pocieszania, oświecania...

Nagle umilkła. W zmroku, który zaczynał już pokój ten napępiać, usłyszała głos drwiący i pogardliwy, który jeden tylko wymówił wyraz:

— Bydło!

O, Bóg niech będzie jej świadkiem, że pomimo wszystkich swoich instynktownych odrzaz i niedołężności nigdy tak nie myślała, nigdy na wielkie zbiorowisko ludzi, najbliższych jej w świecie ludzi, takiej obelgi, w najgłębszej nawet skrytości myśli swej nie rzuciła; że zbliżyć się do tego zbiorowiska, przestawać z nim, pracować nad nim nie umiając sprzyjała mu serdecznie i dla najnędnieszej nawet istoty ludzkiej miała jeszcze życzliwość i choćby bierne współczucie. O, Bóg tylko jeden widział burzę przerażenia, którą w niej wzniecił ten jeden wyraz z obojętnie wzgardliwych ust jej syna spadły, bo on tej burzy, która jej głos odebrała, ani kredowej bladeści twarz jej oblewać poczynającej nie spostrzegł i stając przed nią, jakby z milczenia jej chciał korzystać, mówić zaczął:

— Bardzo dobrze rozumiem, o co kochanej mamie najwięcej idzie. I jakże nie rozumieć? Soki ziemi, chleb cierpienia, Chrystusowe szaty, lud... słowem... jak mówi stryj Benedykt, to... tamto!... Nigdy o tym mówić nie chciałem, ażeby kochanej mamy nie gniewać i nie martwić. Szanuję zresztą wszystkie uczucia i przekonania, szczególnie tak bezinteresowne, o, tak nadzwyczajnie bezinteresowne! Ale teraz spostrzegam, że zachodzi konieczność szczerego rozmówienia się o tym przedmiocie. Otóż przykro mi to bardzo, j'en suis désolé, ale ja tych uczuć i przekonań nie podzielał. Tylko szaleńcy i krańcowi idealisci bronią do ostatka spraw absolutnie przegranych. Ja także jestem idealistą, ale trzeźwo na rzeczy patrzeć umiem i żadnych pod tym względem iluzji sobie nie robię... a nie mając żadnych iluzji, nie mam też ochoty składać siebie w całopaleniu na ołtarzu — widma. Proszę o przebaczenie, jeżeli mamy uczucia czy wyobrażenia obrażam, ale rozumiem, doskonale rozumiem, że osoby starsze mogą zostawać pod wpływem tradycji, osobistych wspomnień etc. My zaś, którzy za cudze iluzje pokutujemy, swoich już nie mamy. Kiedy bank został do szczytu rozbity, idzie się grać przy innym stole. Tym innym stołem jest dla nas cywilizacja powszechna, europejska cywilizacja... Ja przynajmniej uważam się za syna cywilizacji, jej sokami wykarmiony zostałem, z nią przez tyle lat pobytu mego za granicą żyłem się, nic więc dziwnego, że bez niej już żyć nie mogę i że tutejsze soki tuczą mi wprawdzie ciało w sposób... w sposób prawdziwie upokarzający, ale ducha nakarmić nie mogą...

Słuchała, słuchała i może miała takie poczucie, jak gdyby ziemia spod stóp się jej usuwała, bo obie jej dłonie mocno ścisnęły krawędź stołu.

— Boże! Boże! — kilka razy z cicha wymówiła, a potem jedną rękę od stołu odrywając i ku oknu ją wyciągając, z trudem, zdławionym głosem zaczęła:

— Idź na mogiłę ojca, Zygmuncie, idź na mogiłę ojca! Może z niej... może tam...

— Mogiła! — sarknął — znowu mogiła! Już druga dziś osoba wyprawia mię na mogiłę! Ależ ja za mogiły bardzo dziękuję... przede mną życie, sława...

— Bez sławy, bez grobowca, przez wszystkich zapomniany, w kwiecie wieku i szczęścia ze świata strącony, twój ojciec... tam...

— Mój ojciec — wybuchnął Zygmunt — niech mi mama przebaczy... ale mój ojciec był szaleńcem...

— Zygmuncie! — zawołała, a głos jej dźwięczał zupełnie inaczej niż zwykle: przeraźliwie jakoś i groźnie.

Ale i on także miał w sobie trochę popędliwej krwi Korczyńskich, którą wzburzył niezłomny opór matki.

— Szaleńcem! — powtórzył — bardzo szanownym zresztą... ale do najwyższego stopnia szkodliwym...

— Boże! Boże! Boże!

— Tak, moja mamó. Niech mama mnie przebaczy, ale ja mam prawo mówić o tym, ja, który nie mogę

zająć przynależnej mi w świecie pozycji, który nieraz w szczęśliwszych krajach czułem przybite do mego czoła piętno niższości, który o połowę uboższy jestem przez to, że mój ojciec i jemu podobni...

— Wyjdź! wyjdź stąd! — nagle głos z piersi wydobywając zawołała. — Co najprędzej, o! co najprędzej... bo lękam się własnych ust... o!...

Nie dokończyła, tylko z wysoko podniesioną głową i twarzą, której kredowa bladość w ramie czarnego czepka odbijała na tle zmierzchu, rozkazującym gestem wskazywała mu drzwi.

— Ależ pójdę! pójdę! z mamą o tych rzeczach rozmawiać nie podobna! Mogiły, złorzeczenia, tragedie! Co się tu dzieje! Co się tu dzieje! I o co? za co? dlaczego? Gdyby o tym gdzie indziej opowiadać, nikt by nawet nie zrozumiał i nie uwierzył!

Wyszedł i po cichu drzwi za sobą zamknął.

Są ludzie, którzy płakać umieją tylko nad mogiłami drogich sobie istot, czym zaś jest rozpacz nad śmiercią uczuć i ideałów doznawana, nie wiedzą. Lecz ta wspaniała kobieta, która z twarzą jak opłatek białą stała wśród zmroku niby w kamienną kolumnę przemieniona, czuła teraz, że na drodze jej życia i na dnie jej serca wznosi się druga mogiła, rozpaczniejsza jeszcze od pierwszej, bo nic już po sobie nie pozostawiająca. W tę drugą mogiłę kładły się na wieki i bezpowrotnie ją żegnały najdroższe jej uczucia i nadzieje; rozkładała się w niej, niby ciało w retorcie śmierci na marną parę przerabiane, wiara jej w geniusz i w szlachetność syna... Wydało się jej nawet, że czuje zapach trupa i że ten trup znajduje się w niej samej, zalega dno jej własnej piersi, którą zdjęło śmiertelne zimno. Byłaby to agonia jej wielkiej miłości dla syna? Czyżby go kochać przestawała? Piers jej stygła, jakby w niej zagaśł jedyny płomień, który utrzymywał jej życie. Ona rozumiała, co tam gaśnie, i obie dłonie mocno przyciskała do serca, chcąc może zatrzymać to, co z niego ulatywało. Czuła, że wraz z zanikaniem jej miłości i wiary niezgłębiona próżnia otwiera się przed nią, kruszą się same podstawy jej bytu, jakiś nóż ostry i nielitościwy podcina same korzenie jej życia. Z postawy jej, ruchów rąk i drżenia rysów widać było nieznośną mękę, która bolesne prądy rozsyłała od kończyn do kończyn jej ciała, siłą cierpienia, zda się, wywlekając z niej duszę. Wtem oczy jej oślepiło jakieś wielkie, jaskrawe światło. Był to ów pas na niebie, przed chwilą różowy, a teraz krwawo zaczerwieniony, który za drzewami ogrodu i nad nimi pozostawiło zaszele już słońce. Szeroki, równy, gdzieś zbałwaniony, podobnym on był do rzeki krwi, po której przepływały kiry fioletów i nad którą, niby rozwiewna gloria, ulatywały złotawe pary. To zjawisko przyrody dla kobiety, która patrzyła na nie, przedstawiło jakiś symbol i uderzyło jej w oczy jakimś przypomnieniem. Z miejsca, na którym stała, widziała tylko wąski, daleki rąbek błękitu, do promienia ideału, do wiecznej, chociaż dalekiej nadziei podobny, lecz więcej nic, nic prócz tej rzeki krwi ciemnymi kroplami jak ciężkimi łzami usianej, złotawą parą buchającej. Patrzyła, patrzyła, aż dłonie podnosząc do skroni, jak ktoś, kto przed gwałtownym wichrem ostać się nie może, okręciła się na miejscu i z jękiem na ziemię upadła. Kolana jej i ręce splecione, którymi sobie zasłoniła czoło, z głuchym stukiem o posadzkę uderzyły. Po pokoju rozlegać się zaczął szept, to gwałtowny, to znów tak cichy, jak gdyby z konającej piersi wychodził:

— Widziałeś? Ciebie znieważył! Pamięć twoją, grób twój... Ideały nasze, wiarę, pragnienia zdeptał! Andrzej! czy ty mię słyszysz? czy ty mi przebaczasz? Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! Ale ja tego nie chciałam... Śmierci, o! śmierci!

Ale śmierć nie byłaby okrutną, gdyby przybywała ku tym, którzy już życia nie pragną. Silne jej ciało zwycięsko opierało się targającej nim rozpacznej burzy. Przed oknem zasłoniętym czerwonością nieba długo z twarzą przy ziemi leżała, aż gdy podniosła ją i spojrzała w górę, wyraz niemego, osłupiałego zachwycenia nappełnił jej oczy. Po raz drugi doświadczyła wizję której pragnęła i wzywała zawsze. Widziała Andrzeja. Kształty jego zaledwie rozróżnić mogła, bo owijały je złotawe pary, ale wypukłe rysy, w ciemnej gęstwinie włosów, z krwawiącą się plamą na czole, męczeńską bladością odbijały na tle krwawego obłoku. W te rysy wpatrzyła się ze stokroć większą jeszcze miłością niż w owym dniu dalekim, gdy ukochany zdejmował z jej skroni welon oblubienicy. Cisza głęboka, taka, jaka na ziemi bywa tylko przed wejściem jutrenki, dokoła niej zaległa. Najłżejszy szmer ucha jej nie dolatywał; nie czuła też twardości ziemi, na której klęczała, ani przestrzeni rozdzielającej ją z zawieszonym pod niebem zjawiskiem.

— Czy mi przebaczasz? — drżącymi ustami szeptała.

Ale on, złotawą glorią owinięty, leżał na krwawym obłoku cichy, smutny, w daleki rąbek błękitu



zapatrzony. Zdało się jej tylko, że z mglistych obsłon wydobyte, przejrzyste jego ramię na mgnienie oka wyciągnęło się nad jej głową.

— Bez ojca wzrósł — szeptała — bez ojca... bez ciebie!

Lecz na krwawym obłoku żeglująca kropla fioletu zbliżała się, rosła, wydłużała i powoli, rys po rysie, zasłaniała to oblicze blade, ciche, aż do końca zapatrzone, niby w promień ideału lub w wieczną, chociaż daleką nadzieję, w wąski, daleki rąbek błękitu.